

KOSZMAR W DUNWICH



Gorgony, Hydry i Chimery - straszne opowieści o Celaeno i Harpiach - mogą się odradzać w przesądnym umyśle - ale istniały tam już przedtem. Są kopia, wzorcem - stare ich wzorce są w nas, i są wieczne. Gdyby było inaczej, to czy przytoczone przykłady, które na jawie uważamy za nieprawdziwe, mogłyby wywierać na nas jakikolwiek wpływ? Czy to znaczy, że w sposób naturalny przejmujemy poczucie lęku od takich właśnie obiektów, które, jak się powszechnie uważa, są w stanie wyrządzić nam cielesną krzywdę? O, bynajmniej! Tego rodzaju lęki mają o wiele starsze podłoże. Sięgają poza ciało - a nawet w powiązaniu z ciałem byłyby takie same... Fakt, że lęk, tutaj rozważany, ma charakter czysto duchowe, że jest silny w proporcji, tak jak jest bezprzedmiotowy na ziemi, że dominuje w okresie naszego bezgrzesznego niemowlęctwa - stwarza trudności, których rozwiązanie może ułatwić wejście w okres, gdy świat jeszcze nie istniał, i choćby pobieżne zerknięcie w mroczną krainę praegzystencji.

Charles Lamb: "Czarownice i inne koszmary nocne".

I

Jeśli podróżnik, przebywający na północy środkowej części Massachusetts, skręci w niewłaściwy gościniec na rozstaju dróg przy rogatkach Aylesbury tuż za Dean's Corners, napotka samotną i dziwną krainę. Teren się tu wznosi, a kamienne mury obrosnięte dziką różą coraz silniej napierają na krętą, piaszczystą i poślubioną koleinami drogę. Drzewa w pojawiających się co pewien czas pasmach lasów wydają się za duże, a dzikie krzewy, jeżyny i trawa rosną tak bujnie, że nawet w zamieszkałych regionach nieczęsto się takie spotyka. Pola uprawne, mało zresztą urodzajne, występują tu tylko gdzieniegdzie, a z rzadka rozproszone domy noszą znamiona wieku, nędzy i ruiny. Nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje, ale nikt właściwie nie ma ochoty pytać o drogi wychodzących, samotnych ludzi, których niekiedy można dostrzec na rozpadających się progach domów oraz na spadzistych łąkach usianych kamieniami. Ludzie ci są tak milczący i tajemniczy, że każdy odnosi wrażenie, jakby natknął się na jakieś zakazane istoty, z którymi lepiej byłoby nie mieć do czynienia. A kiedy wznosząca się coraz wyżej droga doprowadza do miejsca, z którego roztacza się ponad gęstymi lasami widok na wzgórza, narasta uczucie dziwnego niepokoju. Ich wierzchołki są nazbyt okrągłe i symetryczne, aby taki widok mógł się wydać przyjemny i naturalny, a do tego jeszcze co jakiś czas rysują się niezwykle wyraziście na tle nieba wysokie, ustawione w krąg kamienne kolumny wieńczące szczyty tych wzgórz.

Drogę przecinają niezbadanej głębokości wąwozy i parowy, a prymitywne drewniane mosty nie zapewniają poczucia bezpieczeństwa. A kiedy droga opada w dół, pojawiają się całe połacie bagien, na widok których człowiek instynktownie się wzdryga, natomiast wieczorem ogarnia go lęk, gdy zaczyna się rozlegać skrzeczenie niewidocznych lelków kozodojów, a niespotykane chmary robaczków świętojańskich wykonują taniec w rytm ochryplego, uporczywego i donośnego rechotu żab. Wąska, lśniąca wstęga górnego biegu rzeki Miskatonic przypomina pełzającego węża, kiedy tak wiję się u stóp kopulastych wzgórz, spośród których wypływa.

Im bliżej wzgórz, podróżnik stwierdza, że bardziej przyciągają uwagę ich zalesione stoki aniżeli kamienne, kopulaste wierzchołki. Zieją czarnym mrokiem, są urwiste i miałyby się ochotę znaleźć od nich jak najdalej, ale nie ma niestety innej drogi, dzięki której można by ich uniknąć. Po drugiej stronie krytego mostu widać małą wioskę przycupniętą między rzeką a stromym zboczem Round Mountain, w której zadziwiają przegniłe spadziste dachy świadczące o architekturze znacznie starszej niż pozostała zabudowa okolicy. Nie napawa otuchą

świadomość, kiedy przyjrzeć się bliżej, że większość chat jest opustoszała i chyli się do ruiny i że w kościele ze zwałoną wieżą mieści się teraz jedyny niechlujny sklep tej wioski. Przerazenie ogarnia na myśl, że trzeba przejść mroczny jak tunel most, nie da się go jednak ominąć. A po drugiej stronie, na odcinku drogi prowadzącej przez wieś, bucha przykra woń zbutwienia, nagromadzona przez całe stulecia. Z ulgą opuszcza się to miejsce posuwając się wąską ścieżką wiodącą u podnóża wzgórz i poprzez równinę dociera się znowu do rogatek Aylesbury. Czasem dopiero tutaj człowiek się dowiaduje, że był w Dunwich.

Obcy rzadko odwiedzają tę miejscowość, a od pewnego czasu, kiedy to miały tam miejsce straszne wydarzenia, wszystkie kierujące doń drogowskazy zostały usunięte. Sceneria tamtejsza, jeśli oceniać wedle zwykłego kanonu estetycznego, jest wyjątkowo ładna, a jednak nie przyjeżdżają tam turyści w sezonie letnim, nie zaglądają też artyści. Dwieście lat temu, kiedy opowieści o wiedźmach wypijających krew, otaczaniu czcią Szatana i o dziwnych istotach żyjących w lasach nie budziły pobłażliwego uśmiechu, mówiło się jawnie o przyczynach, dla których należy unikać tych terenów. W wieku, w którym władą rozum, a w którym właśnie żyjemy - koszmar w Dunwich został wyciszony w 1928 roku przez ludzi, którym dobro tego miasta i świata leżało na sercu - wszyscy unikają tych stron nie wiedząc właściwie dlaczego. Być może znana jest jedna przyczyna - ale nie ludzkiem przybyłym z daleka - a mianowicie odrażający wygląd nielicznych już mieszkańców tych chylących się do upadku osiedli, jakie dość często spotyka się w zakątkach Nowej Anglii. Stanowią jakby swoją własną rasę z wyraźnie zaznaczającą się umysłowym i fizycznym stygmatem degeneracji, spowodowanej między innymi zawieraniem małżeństw między krewnymi. Przeciętna ich inteligencji jest katastrofalnie niska, natomiast ich kroniki aż cuchną od jawnej złośliwości potajemnych zabójstw, kazirodztwa oraz czynów wyjątkowo okrutnych i wyuzdanych. Grupa przynależąca do starego ziemiaństwa, a reprezentowana przez dwie albo trzy rodziny, które przybyły tu z Salem w 1692 roku, utrzymała się na cokolwiek wyższym poziomie, choć poniektórzy jej potomkowie tak już wrosli w pospólstwo, że tylko ich nazwiska mogą być kluczem do tak zniesławionego pochodzenia. Niektórzy Whateleyowie czy Bishopowie wciąż jeszcze wysyłają najstarszych synów do Harvardy czy Miskatonic, ale rzadko powracają oni pod butwiejące dachy, pod którymi ich przodkowie, a także oni sami przyszli na świat.

Nawet ci, którzy znają fakty związane z koszmarem, jaki się tutaj wydarzył, nie potrafią powiedzieć, co się działo w Dunwich. Stare legendy wspominają o bezbożnych obrzędach i tajnych zgromadzeniach Indian, podczas których przywoływano zakazane, tajemnicze istoty spośród wielkich, kopulastych wzgórz i odprawiano dzikie, orgiastyczne obrzędy, powodując jakieś trzaski i grzmoty w głębi ziemi. W 1747 roku wielebny Abijah Hoadley, nowo przybyły kapłan Kongregacyjnego Kościoła we wsi Dunwich, wygłosił pamiętne kazanie na temat obecności Szatana i jego diabłów, w którym powiedział: Zważyć musimy, że te bluźniercze siły z piekielnego Orszaku Demonów są nazbyt powszechnie znane, aby im można było zaprzeczać. Przekłęte głosy Azazela i Buzraela, Belzebuba i Beliala słyszało z głębi ziemi ponad dwudziestu jeszcze żyjących wiarygodnych świadków, a dwa tygodnie temu ja sam wyraźnie słyszałem rozmowę nieczystych sił w górach za moim domem. Dochodziło brzęczenie i dudnienie, jęk i pisk, i jakieś syki. Były to dźwięki obce tej ziemi, a musiały się dobywać z jaskiń, które tylko człowiek uprawiający czarną magię może odkryć, a otworzyć jedynie diabeł.

Wielebny Hoadley wkrótce potem zniknął, ale tekst jego kazania, wydrukowany w "Springfield", do dziś istnieje. Jednakże każdego roku dochodzą wieści o dziwnych odgłosach rozbrzmiewających wśród gór i wciąż stanowią zagadkę dla geologów i fizjografów.

Inne podania głoszą o jakimś nieprzyjemnym zapachu unoszącym się w pobliżu kręgu kamiennych kolumn i o nagłych, sowizdrzalskich odgłosach słyszalnych niezbyt wyraźnie w pewnych godzinach, a dobywających się z określonych miejsc na dnie wielkich wąwozów; a jeszcze inne podania ludowe wspominają o Diabelskim Uskoku - jest to ponure, przeklęte zbocze góry, na którym nie rosną ani drzewa, ani krzewy, ani nawet trawa. Ludzie tutaj panicznie się boją głosów lelków kozodojów, które nasilają się w ciepłe noce. Panuje przekonanie, że te ptaki oczekują na dusze umierających ludzi i że dopasowują rytm swoich pełnych grozy krzyków do ostatnich oddechów cierpiącego. Jeżeli pochwycą ulatującą duszę w momencie opuszczania ciała, natychmiast odlatują trzepocząc skrzydłami pośród demonicznego chichotu; a jeśli nie uda się im pochwycić, stopniowo zapadają w pełną rozczarowania ciszę.

Wszystkie te opowieści już się oczywiście przeżyły i wydają się śmieszne; wywodzą się z niezwykle odległych czasów. Dunwich jest rzeczywiście bardzo stare, o wiele starsze niż wszystkie inne osady w promieniu trzydziestu mil. Na południe od Dunwich można spotkać fundamenty i komin starego domu Bishopa, który został zbudowany jeszcze przed 1700 rokiem; natomiast ruiny młyna przy wodospadach, zbudowanego w 1806 roku, stanowią najbardziej nowoczesną architekturę, na jaką się można tu natknąć. Przemysł nigdy nie kwitł w tych stronach, a fabryka, jaką tu zamierzano rozwinąć w dziewiętnastym wieku, miała krótkotrwały żywot. Najstarsze ze wszystkich są jednak wielkie, surowe ciosane kolumny stojące kręgiem na szczytach, ale przypisuje się je raczej Indianom aniżeli późniejszemu osadnikom. Stosy czaszek i kości w kręgu kolumn i wokół dużej skały w kształcie stołu na Sentinel Hill stanowią, w powszechnym przekonaniu, miejsce grzebania Pocumtucków; natomiast wielu etnologów, odrzucając absurdalne prawdopodobieństwo takiej teorii, twierdzili, że są to pozostałości ludów kaukaskich.

[Początek] [Rozdział II ->]

II

Wilbur Whateley urodził się o piątej rano w niedzielę, drugiego lutego 1913 roku, na dużej i tylko częściowo zamieszkałej farmie, znajdującej się na stoku wzgórza cztery mile od wsi i półtorej mili od jakiegokolwiek innego domostwa w okręgu Dunwich. Data powyższa upamiętniła się, ponieważ było to święto Matki Boskiej Gromniczej,

które mieszkańcy Dunwich obchodzą pod inną nazwą, a także dlatego, że w górach rozległy się jakieś huki, zaś przez całą noc poprzedzającą jego urodzenie ujadały zaciekle wszystkie psy we wsi. Godny również uwagi jest fakt, że matka jego pochodziła ze zdegenerowanej gałęzi rodziny Whateleyów, że była ułomną, brzydką trzydziestopięcioletnią kobietą, albinoską, a mieszkała ze starym ojcem, półobłąkanym, a którym w jego młodych latach krążyły plotki, że para się czarną magią. Lavinia Whateley nie miała męża, ale nie wyrzekła się dziecka, zgodnie z panującymi w tych stronach obyczajami; nie przejmowała się też domysłami, jakie mogą snuć - i snuli - okoliczni wieśniacy na temat ojcostwa jej dziecka. Wręcz przeciwnie, wydawała się dumna z czarnołosego niemowlęcia o wyglądzie satyra, który jaskrawo kontrastował z jej albinizmem i różowymi oczami, a słyszano też, jak rozповідаło rozmaite i dziwne o nim wieści, o jego niezwykłej mocy i wielkiej przyszłości.

Lavinia mówiła różne rzeczy, żyła bowiem samotnie i zapuszczała się daleko w góry podczas szalejących burz, a także czytała grube książki zgromadzone w ciągu dwóch stuleci, które jej ojciec odziedziczył po przodkach Whateleyach, a które teraz rozpadały się już ze starości i zniszczenia przez robactwo. Do szkoły nie chodziła nigdy, uczył ją ojciec, przekazując jej w sposób chaotyczny strzępki starożytnej wiedzy. Ludzie zawsze stronili od ich farmy z powodu krążących opowieści o czarnej magii Starego Whateleya i dotychczas niewyjaśnionych okoliczności gwałtownej śmierci pani Whateley, kiedy Lavinia miała dwanaście lat. Lavinia zadowolona była ze swego samotnego życia, które wypełniała różnymi zajęciami i oddawała się najfantastyczniejszym marzeniom i snom. Domem niewiele się zajmowała, panował w nim nieład i brud, a w nozdrza uderzały nieprzyjemne zapachy.

Tej nocy, kiedy rodził się Wilbur, rozległ się w domu Whateleyów krzyk, którego echo zagłuszało nawet odgłosy ze wzgórz i szczekanie psów, ale w jego przyjściu na świat nie uczestniczył ani żaden doktor, ani akuszerka. Sąsiedzi dowiedzieli się o wszystkim dopiero w tydzień później, kiedy Stary Whateley wybrał się saniami do Dunwich i chaotycznie opowiedział o tym wydarzeniu ludziom stojącym bezczynnie przez sklepem Osborne'a. Wydawało się, że się zupełnie odmienił - rozglądał się ukradkiem na wszystkie strony, nie budził lęku, jak dotychczas, tylko sam był jakiś zalekniony - a przecież nie był to człowiek, któremu wydarzenia rodzinne mogłyby zakłócić spokój. Mimo to znać po nim było dumę, która zresztą potem ujawniła się też i u jego córki, a to, co powiedział o ojcu dziecka, upamiętniło się na długie lata jego słuchaczom.

- Nie obchodzi mnie, co ludzie sobie myślą, bo jeśli chłopak Lavinii będzie jak jego ojciec, wszystkich zadziwi. Myślicie pewnie, że wy to jedyni ludzie tutaj. Lavinia czytała i widziała rzeczy, o których wam tylko opowiadano. Jej chłop jest tak samo dobry jak każdy chłop po tej stronie Aylesbury. A jakbyście wiedzieli o górach to, co ja wiem, to byście myśleli, że jej ślub jest lepszy niż wszystkie śluby w kościołach. Powiem wam jeszcze, że któregoś dnia usłyszycie, jak dziecko Lavinii zwoła imię swojego ojca ze szczytu Sentinel Hill.

Tylko dwie osoby widziały Wilbura Whateleya w pierwszym miesiącu życia. Byli to Zechariah Whateley, z tych jeszcze nie zdegenerowanych, i Mamie Bishop, nieślubna żona Earla Sawyera. Mamie wybrała się z ciekawości, a to, co potem opowiadała, okazało się uzasadnione. Zechariah natomiast przyprowadził dwie krowy z Alderney, które Stary Whateley kupił od jego syna, Curtisa. Od tej chwili rodzina małego Wilbura skupowała bydło i trwało to aż do 1928 roku, kiedy to zdarzył się ten straszny koszmar w Dunwich. A mimo to w obskurnej oborze Whateleya nigdy nie było dużo bydła. Przez pewien czas ciekawscy liczyli z ukrycia liczbę krow pasących się na stromym zboczu kiło starej farmy i jakoś nigdy nie doliczyli się więcej niż dziesięć albo dwanaście, a wszystkie wyglądały zbadzone, jakby bez krwi. Widocznie jakaś zaraza niszczyła zwierzęta u Whateleyów; pewnie pastwisko było niezdrowe albo grzyb toczył drzewo w ich obskurnej oborze, co nie wychodziło zwierzętom na dobre. Na ich skórze było pełno wrzodów albo ran, tak jakby były czymś ponacinane. A tym, którzy byli na farmie jeszcze we wcześniejszych miesiącach, wydało się, że takie same wrzody i rany dostrzegli na szyi nie ogolonego, swego Starego Whateleya i jego niechlujnej, potarganej córki-albinoski.

Wiosną, po urodzeniu Wilbura, Lavinia wznowiła wyprawy w góry wraz ze swoim smagłym dzieckiem, które nosiła w niekształtnych ramionach. Z czasem, kiedy większość okolicznych mieszkańców zobaczyła już dziecko, przestano się nim interesować, nie komentowano też jego niezwykle szybkiego rozwoju. Wilbur rósł fenomenalnie szybko, kiedy skończył trzy miesiące, był większy i mocniejszy niż niejedno roczne dziecko. Jego ruchy i głos nacechowane były rozumą i świadomością niespotykaną w takiego niemowlaka, toteż nikogo nie zaskoczyło, kiedy w siódmym miesiącu życia zaczął chodzić, jeszcze trochę chwiejnie ale po miesiącu już poruszał się całkiem swobodnie.

W tym mniej więcej czasie - na Wszystkich Świętych - nasz szczyt Sentinel Hill, gdzie pośród stosu starych kości znajduje się skała w kształcie wielkiego stołu, pojawił się o północy wielki płomień. Rozpętała się fala płotek, bo Silas Bishop - z tych normalnych Bishopów - na godzinę przed pojawieniem się ognia widział, jak chłopiec biegł zwawo przed matką właśnie na to wzgórze. Silas pędził właśnie zbląkaną jałówkę, ale prawie zapomniał, co roki, kiedy w słabym świetle latarki dojrzał tych dwoje. Przedzierali się niemal bezszelestnie przez poszycie i zdumionemu Silasowi wydało się, że byli zupełnie nadzy. Potem miał pewne wątpliwości co do chłopca, być może miał na sobie ciemne spodnie, krótkie albo długie, i pas z frędzlami. Zawsze widywano Wilbura w ubraniu dokładnie zapiętym, a jakiegokolwiek zakłócenie porządku w jego stroju wywoływało u niego niepokój, a nawet irytację. Pod tym względem ogromnie kontrastował z niechlujną matką i dziadkiem, dopiero niezwykle zdarzenie w 1928 roku wyjawiało przyczyny tego zjawiska.

W styczniu wykazano znowu pewne zainteresowanie "ciemnym brzdącem Lavinii", bo zaczął mówić skończywszy jedenaście miesięcy. Zwracał uwagę nie tylko z powodu innego akcentu, ale i swobody, z jaką mówił. Czteroletnie dziecko nie mogłyby mu dorównać. Nie był zbyt skory do rozmowy, lecz kiedy już zaczynał mówić, robił to w jakiś dziwnie nieuchwytny sposób, niespotykany wśród mieszkańców Dunwich. Nie przejawiało się to w tym, co mówił,

i nawet nie w zwrotach, jakich używał, tylko w intonacji i jakby w wewnętrznych narządach, z których głos się dobywał. A twarz jego też miała niespotykany wyraz dojrzałości; podobnie jak matka i dziadek pozbawiony był brody, ale miał za to wydatny, ukształtowany wyraznie, mimo tak młodego wieku, nos, duże ciemne oczy o dojrzałym spojrzeniu, co stwarzało wrażenie, że jest już dorosły i obdarzony nadprzyrodzoną inteligencją. A mimo to był strasznie brzydko; grube wargi, pożółkła cera z wielkimi porami, szorstkie, twarde włosy i dziwnie wydłużone uszy nadawały mu wygląd satyra albo jakiegoś zwierzęcia. Wkrótce zaczął budzić jeszcze większą odrazę niż jego matka i dziadek; przypisywano to wszystko czarnej magii, jaką się dawniej zajmował Stary Whateley; wspomniano, jak góry zdrząły, kiedy stanął w kręgu skał z otwartą księgą, którą trzymał przed sobą, i wykrzyknął straszne imię Yog-Sothoth. Nie cierpiał tego chłopca wszystkie psy, zawsze musiał być w pogotowiu, aby się bronić przed ich atakiem i groźnym szczekaniem.

[<- Rozdział I] [Początek] [Rozdział III ->]

III

Tymczasem, chociaż Stary Whateley wciąż skupował bydło, stado na jego farmie się nie powiększało. Ścinał też drzewa i zaczął naprawiać nie używaną dotychczas część domu - przestronną, na piętrze pod spadzistym dachem, która od tyłu przylegała na stoku wzgórza; dotychczas zajmował z córką trzy izby na parterze, te najmniej zniszczone, i to mu wystarczało. Ogromne zasoby energii musiał mieć ten stary człowiek, skoro mógł podołać tak ciężkiej pracy. I choć co pewien czas paplał bez związku, jako cieśla robił postępy. Zaczęło się to właściwie zaraz po urodzeniu Wilbura; uporządkował jedną z szop do przechowywania narzędzi, oszalował ją i założył nowy, mocny zamek. Odbudowując teraz nie używane dotąd piętro wykazał taką samą sprawność. Jego obłąd objawił się dopiero wtedy, kiedy pozabijał szczelnie deskami wszystkie okna w odrestaurowanej części domu, choć byli tacy, którzy uważali, że sam fakt przystąpienia do tej pracy był już przejawem obłąd. Trochę mniejsze zdziwienie budziło odremontowanie pokoju dla wnuka na parterze, kilka osób nawet go oglądało, ale nikt nie miał dostępu do zabitego deskami piętra. Pokój chłopca obudował wysokimi, solidnymi półkami, na których poukładał, w należyтым porządku, wszystkie stare, zbutwiałe książki i porozrywane, poszczególne części, które dotychczas przewracały się po kątach we wszystkich izbach.

- Ja z nich skorzystałem coś niecoś - mówił podklejając podarte stronicę, zadrukowane gotyckim pismem. W tym celu na zardzewiałym kuchennym piecu podgrzewał zrobiony przez siebie klej. - Ale chłopak jeszcze lepiej potrafi z nich skorzystać. Trzeba je uporządkować, bo tylko z nich będzie się uczył.

Kiedy Wilbur miał rok i siedem miesięcy - we wrześniu 1914 - jego wzrost i umiejętności budziły najwyższe zdumienie. Wyglądał na cztery lata, mówił płynnie i wykazywał dużą inteligencję. Biegał swobodnie po polach i górach, nieodłącznie też towarzyszył matce w jej wyprawach. W domu ślęczał pilnie nad dziwnymi obrazkami i mapami w książkach dziadka, a Stary Whateley wpajał mu wiedzę przez całe długie, ciche popołudnia. Do tego czasu został zakończony remont domu, a ci, którzy to obserwowali, nie mogli zrozumieć, dlaczego okno na tyłach wschodniego szczytu, przylegające do wzgórza, zostało przerobione na moce drzwi zbite z desek. A jeszcze bardziej zagadkowa była pochylnia z desek prowadząca od drzwi do samej ziemi. Po zakończeniu remontu ludzie zauważyli, że szopa z narzędziami, tak starannie zamykana i oszalowana po urodzeniu Wilbura, teraz znowu stała zaniedbana. Otwarte drzwi stukwały, zapomniane przez wszystkich, a kiedy Earl Sawyer, który sprzedawał bydło Staremu Whateleyowi, zajrzał kiedyś do szopy, uderzył go w nozdrza jakiś szczególnie nieprzyjemny zapach; zapewniał, że jeszcze nie zetknął się z takim w życiu, może tylko w pobliżu obozów indiańskich w górach. Był nie do zniesienia. A przecież wszystkie domy i szopy w Dunwich nie odznaczały się pod tym względem nieskazitelnością.

Następne miesiące nie obfitowały w żadne wydarzenia, ale wszyscy twierdzili, że tajemnicze hałasy w górach stopniowo się nasilają. W przededniu 1 maja 1915 roku wystąpiły wstrząsy, które odczuwane były nawet w Aylesbury, natomiast w wigilię Wszystkich Świętych rozległ się pod ziemią grzmot w momencie, gdy buchnęły płomienie na szczycie Sentinel Hill. "To wszystko czary Whateleyów" - mówili ludzie. Wilbur rósł niesamowicie szybko, miał cztery lata, a wyglądał na dziesięć. Czytał już samodzielnie, ale stał się mniej rozmowny. Zatapiął się w swoim milczeniu, a ludzie zaczęli dostrzegać w jego twarzy satyra złowrogi wyraz. Bywało, że coś mamrotał w nie znanym nikomu języku i nucił w jakimś dziwnym rytmie, co napełniało wszystkich niewypowiedzianym lękiem. Szeroko komentowano teraz fakt, że psy tak ujadają na jego widok, musiał nawet brać ze sobą rewolwer, jeżeli chciał przejść przez wieś. Bywało, że czasem strzelał, czy nie zyskiwał sobie przychylności wśród właścicieli psów.

Jeżeli ktoś przyszedł do domu Whateleyów, najczęściej znajdował Lavinę na parterze, podczas gdy na piętrze rozlegały się jakieś dziwne okrzyki i tupot. Nigdy nie mówiła, co dziadek i chłopak tam robią, ale pewnego razu mocno pobladła i objawiła straszny niepokój, kiedy dowcipny domokrażca handlujący rybami chciał otworzyć zamknięte drzwi wiodące na schody. Potem domokrażca opowiedział ludziom zgromadzonym przed sklepem w Dunwich, że słyszał chyba tupot końskich kopyt na górze. Zaczęto się zastanawiać nad drzwiami z desek i prowadzącą do nich pochylnią, a także nad bydłem, które szybko gdzieś znikało. Z czasem przypominano sobie opowieści Starego Whateleya z młodych lat, wedle których, jeśli złożyć w odpowiednim czasie ofiarę z wołu pogańskim bóstwom, przywołuje się spod ziemi żyjące tam istoty. Z czasem ludzie zwrócili też uwagę, że psy, które nie znosiły i bały się Wilbura, zaczęły okazywać taki sam stosunek do całego domostwa Whateleyów.

W 1917 roku wybuchła wojna i Squire Sawyer Whateley, jako przewodniczący miejscowej komisji poborowej, miał duże kłopoty ze znalezieniem w Dunwich odpowiedniej ilości młodych mężczyzn nadających się choćby do obozu ćwiczebnego. Rząd, zaniepokojony takimi sygnałami panującej w całym regionie degeneracji, wysłał kilku

inspektorów i ekspertów medycznych dla zbadania sprawy; dokonano przeglądu, a wiadomości na ten temat można jeszcze dzisiaj przeczytać w gazetach wydawanych w Nowej Anglii. Przeprowadzonym badaniom towarzyszył taki rozgłos, że ściągnęła tu grupa reporterów, którzy szczególnie zainteresowali się Whateleyami. W niedzielnym wydaniu "Boston Globe" i "Arkham Advertiser" ukazały się kwieciste artykuły o niesłychanie szybkim rozwoju małego Wilbura, o czarnej magii Starego Whateleya i półkach pełnych dziwnych ksiązek, o zabitym dochodzący piętze na ich starej farmie i niesamowitym wrażeniu, jakie robi cały ten region wraz z hałasami dochodzącymi od strony gór. Wilbur miał wtedy cztery i pół roku, a wyglądał na piętnastoletniego chłopca. Wargi i policzki pokrywał mu już ciemny, szorstki zarost, a w głosie słyszało się mutację.

Do Whateleyów wybrał się Earl Sawyer z grupą reporterów i fotografów, on to zwrócił ich uwagę na dziwny smród, jaki się dobywał z górnej części domu. Był identyczny jak wtedy w szopie z narzędziami, do której zajrzał po zakończeniu remontu domu, i jaki czasem występował w pobliżu kręgu kamiennych kolumn na szczycie wzgórza. Mieszkańcy Dunwich przeczytali w gazetach artykuł na ten temat i zareagowali śmiechem na te pełne oczywistych nonsensów wiadomości. Zastanawiali się także, dlaczego reporterzy robili tyle szumu, stwierdziwszy, że Stary Whateley zawsze płaci za bydło w bardzo starych, złotych monetach. Whateleyowie przyjęli gości w swym domu ze złe skrywaną niechęcią, ale nie śmieli się opierać ani odmówić wyjaśnień, żeby nie spowodować jeszcze większego rozgłosu.

[<- Rozdział II] [Początek] [Rozdział IV ->]

IV

Przez dziesięć lat Whateleyowie żyli pośród schorzałej społeczności Dunwich niczym się specjalnie nie wyróżniając, zwłaszcza że wszyscy już przywykli do ich dziwnych obyczajów i orgii w przeddzień pierwszego maja oraz Wszystkich Świętych. Dwa razy do roku rozpalali ogień na szczycie Sentinel Hill, a wtedy hałas w głębi gór rozbrzmiewały ze wzmożoną siłą; poza tym jednak zawsze, o każdej porze roku, dochodziły z samotnej farmy dziwne i złowieszcze odgłosy. Ilekroć ktoś wstąpił na farmę, opowiadał potem, że słyszał je nawet wtedy, kiedy cała rodzina Whateleyów była na dole, i wszyscy zastanawiali się, jak długo może trwać obrzęd składania ofiary z krowy albo wołu. Wystosowano nawet skargę do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami; nic jednak z tego nie wynikło, bo mieszkańcy Dunwich zawsze starali się nie zwracać uwagi na to, co dzieje się w ich regionie.

Około 1923 roku, kiedy Wilbur miał dziesięć lat, ale umysł jego, głos, postawa i zarośnięta twarz nadawały mu wygląd dorosłego człowieka, znowu w ich starym domu rozległy się ciesielskie roboty. I znowu odbywały się na piętrze, a po rozrzuconych kawałkach drewna ludzie zorientowali się, że chłopak i jego dziadek zburzyli działowe ściany, zlikwidowali nawet poddasze, dostawiając jedną wielką izbę pomiędzy parterem a spiczastym dachem. Wyburzyli też wielki, główny komin, a od zardzewiałego pieca puścili na zewnątrz domu blaszaną rurę.

Wiosną po tych zmianach Stary Whateley zauważył, że nocą zlatują się z wąwozu Cold Spring chmary lelków kozodojów i świergocą pod oknami. Było to dla niego wydarzenie o szczególnym znaczeniu, a ludziom zbierającym się przed sklepem Osborne'a powiedział, że chyba już zbliża się jego koniec.

- Gwiżdżą w takt mojego oddechu - powiedział. - Chyba czekają, żeby złapać moją duszę. Wiedzą, że mnie opuści, i nie chcą, żeby im uciekła. Będziecie wiedzieli, chłopcy, jak już umrę, czy mnie złapały. Jak im się uda, będą śpiewać i śmiać się do samego rana. A jak się nie uda, zaraz się uspokoją. Wydaje mi się, że czasami dusze, na które te ptaki czekają, walczą z nimi.

Nocą pierwszego sierpnia 1924 roku Wilbur Whateley popędził na jedynym pozostałym na farmie koniu do sklepu Osborne'a i telefonicznie wezwał doktora Houghtona z Aylesbury. Doktor zastał Starego Whateleya w bardzo ciężkim stanie, oddech miał ciężki, charczący, serce pracowało nie tak, jak trzeba, co świadczyło o rychłej śmierci. Pokraczna córka-albinoska i brodaty wnuk stali przy łóżku, a tymczasem na górze, z tej pustej czeluści, dochodziły niepokojące odgłosy, tak jakby przewalały się z łoskotem fale na płaskiej plaży. Doktor jednak najbardziej był zaniepokojony świergotem nocnych ptaków. Chyba cały legion lelków kozodojów wykrzykiwał swoje diaboliczne posłannictwo w rytm świszczącego oddechu umierającego człowieka. Wydało się to doktorowi Houghtonowi niesamowite i nienaturalne, podobnie zresztą jak cały ten region, do którego tak niechętnie przyjechał pilnie wezwany.

Około pierwszej w nocy Stary Whateley odzyskał świadomość, jego oddech stał się mniej charczący i wyszeptał kilka urywanych słów do wnuka.

- Więcej przestrzeni, Willy, jeszcze więcej. Ty rośniesz... a to rośnie szybciej. Wkrótce będzie gotowe, żeby cię ocalić. Otwórz bramy Yog-Sothothowi, śpiewaj długą pieśń. Znajdziesz ją na stronie 751 pełnego wydania, a potem przyłóż zapałkę do więzienia. Ziemski ogień go nie tknie.

Był niewątpliwie obłąkany. Po przerwie, podczas której stado lelków dostroiło swój krzyk do zmienionego oddechu, a z głębi gór zaczęły dobiegać dziwne odgłosy, dobył z siebie jeszcze parę słów.

- Podawaj jedzenie regularnie i w odpowiedniej ilości, ale nie pozwól, żeby zbyt szybko rośło, bo jeżeli rozsadzi pomieszczenie i wydostanie się, zanim otworzysz Yog-Sothothowi, to koniec, wszystko na próżno. Tylko oni z zewnątrz mogą to pomnożyć i pracować... Tylko oni, dawne istoty, jeżeli chcą wrócić...

Przerwał i znowu zaczął z trudem łąpać oddech, a Lavinia krzyknęła słysząc, jak lelki dostosowały się do oddechu.

Dopiero po upływie godziny wydał z siebie ostatnie rżące tchnienie. Doktor Houghton opuścił pomarszczone powieki na szkliste szare oczy, a w tym momencie prawie niepostrzeżenie, umilkł krzyk ptaków. Lavinia zaszlochała, zaś Wilbur tylko zachichotał, przy wtórze dalekich odgłosów z gór.

-Nie złapały go - mruknął grubym basem.

Wilbur stał się w swojej dziedzinie uczonym i wielkim erudytą, prowadził korespondencję z licznymi bibliotekami w najbardziej odległych miejscach, posiadającymi w swoich zbiorach rzadko spotykane księgi z najdawniejszych czasów. W Dunwich rosła do niego nienawiść, drżano przed nim, znikali bowiem młodzi ludzie i w skrytości podejrzewano, że Wilbur ma w tym udział, ale jakoś zawsze udawało mu się uniknąć śledztwa, może ludźmi kierował lęk, a może sprawiały to stare, złote monety, za które, podobnie jak jego dziadek, kupował systematycznie coraz więcej bydła. Teraz już był w pełni dojrzały, osiągnął wzrost dorosłego człowieka, a wszystko wskazywało na to, że będzie rósł nadal. W 1925 roku, kiedy pewien uczonej z Miskatonic University odwiedził go któregoś dnia, a wyszedł pobladły i ogromnie zaskoczony, wzrost Wilbura wynosił już sześć i trzy czwarte stopy.

W miarę upływu lat Wilbur okazywał swojej pokracznej matce-albinosce coraz większą pogardę. W końcu nie pozwolił jej chodzić z nim w góry w przeddzień pierwszego maja i Wszystkich Świętych, a w 1926 roku biedaczka zwierzyła się Mamie Bishop, że się go boi.

-Jest w nim coś więcej, niż wiem i mogę powiedzieć, Mamie - wyznała. - A ostatnio jest jeszcze więcej. Przysięgam przed Bogiem, że nie wiem, czego on chce i czego usiłuje dokonać.

Tym razem w przeddzień Wszystkich Świętych odgłosy w głębi gór rozbrzmiewały silniej niż zwykle i tak jak zawsze zapłonął ogień na Sentinel Hill; ale na ludziach większe wrażenie zrobił rytmiczny krzyk niezliczonych stad lelków, które już dawno powinny odlecieć, a które gromadziły się przy nieoświetlonej farmie Whateleyów. Po północy ich przeraźliwy krzyk przemienił się w istne piekło szyderczego chichotu, który wypełnił całą okolicę, a umilkł dopiero o brzasku. Potem znikły, odleciały w pośpiechu na południe, gdzie powinny być już co najmniej od miesiąca. Wszyscy zastanawiali się nad tym wydarzeniem. Nikt z miejscowych ludzi nie umarł... ale nie ujrano już nigdy więcej biednej brzyduli-albinoski, Lavinii Whateley.

Latem 1927 roku Wilbur naprawił dwie szopy stojące na podwórku farmy i tam zaczął przenosić książki i cały dobytek. Wkrótce Earl Sawyer powiadomił ludzi w sklepie Osborne'a, że znów odbywają się ciesielskie roboty na farmie Whateleyów. Wilbur pozabijał wszystkie drzwi i okna na parterze, tak samo jak niegdyś zrobił to jego dziadek na piętrze. Zamieszkał w jednej z szop, ale Sawyerowi wydał się niezwykle zaniepokojony i rozdygotany. Wszyscy podejrzewali go, że ma coś wspólnego ze zniknięciem matki, i starali się w ogóle nie zbliżać do jego farmy. Miał już teraz siedem stóp wzrostu i wszystko wskazywało na to, że jeszcze urośnie.

[<- Rozdział III] [Początek] [Rozdział V ->]

V

Następnej zimy Wilbur wybrał się po raz pierwszy w życiu poza granice regionu Dunwich, co było wydarzeniem niesłychanym. Prowadził korespondencję z Widener Library w Harvardzie, Bibliotheque Nationale w Paryżu, British Museum, uniwersytetem w Buenos Aires i biblioteką Miskatonic University w Arkham, ale niestety, nie zdołał wypożyczyć książki, która mu była rozpaczliwie potrzebna; w końcu więc wyruszył, obszarpany, brudny, zarośnięty i nieokrzesany, aby przejrzeć ten egzemplarz w Miskatonic, do którego było najbliżej. Mający prawie osiem stóp wzrostu, z tanią walizką kupioną u Osborne'a, ten śniady, zarośnięty gargulec zjawił się pewnego dnia w Arkham, aby odnaleźć straszną księgę trzymaną pod kluczem w bibliotece uniwersyteckiej - ohydny "Necronomicon" - napisaną przez szalonego Araba Abdula Alhazreda, w wersji łacińskiej Olaus Wormiusa, a wydaną w siedemnastym wieku w Hiszpanii. Nigdy jeszcze dotychczas nie widział miasta, ale na nic nie zwracał uwagi - interesowało go tylko jedno - odnalezienie drogi do uniwersytetu; tam przeszedł beztrudnie koło wielkiego podwórzowego psa o ostrych, białych kłach, który na jego widok zaczął ujadać z niespotykaną furją i wrogością, szarpiąc mocny łańcuch jak oszalały.

Wilbur miał przy sobie bezcenny, choć uszkodzony egzemplarz w przekładzie angielskim doktora Dee, który przekazał mu w spadku dziadek, a otrzymawszy dostęp do wersji łacińskiej natychmiast zaczął porównywać oba teksty, chciał bowiem odnaleźć pewien ustęp, który powinien być się zachować na 751 stronie jego uszkodzonego egzemplarza. Tyle był uprzejmy powiedzieć bibliotekarzowi, temu samemu uczonemu (a był on magistrem nauk humanistycznych uniwersytetu Miskatonic, doktorem filozofii uniwersytetu w Princeton, miał też doktorat literatury uniwersytetu Johns Hopkins), który kiedyś osobiście przyjechał na farmę, a teraz zasypywał pytaniami. Wilbur wyznał, że szuka pewnej formuły albo zaklęcia, w którym zawiera się straszne imię Yog-Sothoth, bo zainteresowały go pewne różnice, powtórzenia i niejasności, które utrudniały właściwe zrozumienie. Kiedy przepisywał tę formułę, doktor Armitage przypadkowo spojrzął mu przez ramię na otwarte stronie; z lewej strony, w wersji łacińskiej, wymienione były straszne groźby pod adresem pokoju i zdrowego umysłu ludzi żyjących na tym świecie.

Nie należy sądzić (brzmiał tekst, który Armitage szybko tłumaczył), że człowiek jest najstarszym i ostatnim władcą na ziemi albo że zwykła masa życia i substancji to wszystko, co istnieje na tym świecie. Dawne istoty były, są i będą zawsze. Nie w znanych nam przestrzeniach, ale pomiędzy nimi. Spokojne, takie same jak za pierwotnych czasów, bezwymiarowe, istnieją, choć są dla nas niewidzialne. Yog-Sothoth zna bramę. Yog-Sothoth

jest właśnie bramą. Yog-Sothoth jest kluczem i strażnikiem tej bramy. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość skupiają się w Yog-Sothoth. On wie, skąd Dawne Istoty przedostały się w przeszłość, wie też, gdzie się przedostaną w przyszłość. Zna też miejsca na ziemi, po których krążyły, po których wciąż krążą, i wie, dlaczego nikt ich dostrzec nie może. Po ich zapachu ludzie mogą czasami wyczuć ich bliskość, ale nie są w stanie nawet wyobrazić sobie ich wyglądu, choć niektóre z tych istot przekazały pewnym ludziom swoje cechy. A jest ich wiele rodzajów, są i takie istoty, które wykazują pewne podobieństwo do zjawy, jaką jest człowiek, a są też i takie, które nie posiadają wzroku ani substancji. Krążą niewidzialne i ohydne w bezludnych miejscach, w których kiedyś wypowiedziane zostały słowa i odbyły się rytualne obrzędy w odpowiednim dla nich czasie. Wiatr szmerze w rytm ich głosów, a ziemia szepce, świadoma ich obecności. Łamią lasy, niszczą miasta, ale niechaj lasy ani miasta nie dostrzegają ręki, która je smaga. Kadath poznał je na mroźnych, leżących odłogiem przestrzeniach, ale kto spośród ludzi zna Kadatha? Na lodowej pustyni Południa i zatopionych wyspach Oceanu znajdują się kamienie, na których wryte są ich pieczęcie, któż jednak oglądał kiedykolwiek okryte głębokim lodem miasta albo zamkniętą wieżę ozdobioną girlandami wodorostów i skorupiaków? Wielki Cthulhu jest ich kuzynem, a i on tylko niekiedy może je wypatrzeć. Ial Shub-Niggurath! Poznacie je jako ohydę. Ich dłoń jest przy waszych gardłach, a mino to nie widzicie ich. Domostwo Ia jest nawet na dobrze strzeżonym progu waszego domu. Yog-Sothoth jest kluczem do bramy, tam gdzie spotykają się ciała niebieskie. Człowiek rządzi teraz tam, gdzie niegdyś rządziły One; wkrótce One będą rządzić tam, gdzie rządzi teraz człowiek. Po lecie jest zima, po zimie lato. Czeka ją cierpliwie, potężne, bo znowu tutaj zapanują.

Doktor Armitage połączył to, co przeczytał, ze strasznymi opowieściami, jakie usłyszał na temat Dunwich i samego Wilbura Whateleya, jego tajemniczych narodzi i strasznego prawdopodobieństwa matkobójstwa, i ogarnął go lęk; czuł się tak, jakby powiało nań wilgotnym chłodem z grobowca. Wydało mu się, że ten pochylony, przypominający zwierzę olbrzym spłynął chyba z jakiejś innej planety; tylko częściowo należał do rodzaju ludzkiego, a związany był z czarną otchłanią innego świata i innych istot, która rozciąga się niczym koszmarna zjawa poza sferą siły i materii, czasu i przestrzeni. Wilbur tymczasem podniósł głowę i zaczął mówić dziwnym, donośnym głosem, jaki nie mógł się dobywać z normalnych narządów mowy człowieka.

- Panie Armitage, chyba jednak muszę wziąć tę księgę do domu. Są tu rzeczy, które trzeba wypróbować w innych warunkach, tutaj ich nie mam, i byłby to grzech śmiertelny, gdyby biurokratyczne przepisy powstrzymały mnie od tego. Niech pan się zgodzi. Zapewniam pana, że nikt na to nie zwróci uwagi. A ja będę się nią dobrze opiekował. To nie ja zniszczyłem tak tę książkę Deego.

Przerwał, dostrzegł bowiem na twarzy bibliotekarza zdecydowany sprzeciw, podczas gdy na jego własnej odrażającej twarzy pojawił się w tym momencie wyraz przebiegłości. Armitage już miał powiedzieć, żeby przepisał potrzebne mu fragmenty, gdy nagle uświadomił sobie, jaki mogą być tego konsekwencje, i powstrzymał się od udzielenia takiej rady. Zbyt wielka to odpowiedzialność dawać takiemu stworowi klucz do bluźnierczych dalekich światów. Whateley, widząc, jak sprawy stoją, starał się potraktować to lekko.

- Trudno, skoro pan tak uważa. Może w Harvardzie nie będą robić takich trudności. - I nie mówiąc już nic więcej wyszedł pochylając się w każdych drzwiach, jakie mijął.

Z okna biblioteki Armitage przyglądał się, jak Wilbur przemierzał dziedziniec podskakując niczym goryl, zaś pies łańcuchowy ujadał z całych sił. Przypomniały mi się wszystkie tajemnicze opowieści, jakie usłyszał, a także artykuły w starym niedzielnym czasopiśmie "Advertiser" i to wszystko, czego się dowiedział od prostych wieśniaków w Dunwich. Pochodzące nie z tego świata niewidziane istoty - a przynajmniej nie z trójwymiarowej ziemi - wrogie i straszne, grasowały po wawozach Nowej Anglii i tkwiły, te obłe stwory, na górskich szczytach. Był o tym przekonany już od dawna. Teraz prawie wyczuwał bliską obecność strasznego, niepokojącego koszmaru i niemal dostrzegał, jak nosiła się moc tej piekielnej, czarnej, odwiecznej mary, dotychczas pozostającej w stanie bierności. Zamknął "Necronomicon" z obrzydzeniem ale w sali wciąż unosił się odrażający, nieokreślony zapach. "Poznacie ich po zapachu" - zacytował. Tak, był to ten sam zapach, jaki przyprawił go o mdłości na farmie Whateleyów przed trzema laty. Przyszedł mu na myśl Wilbur, odrażający i złowieszczy, i zaśmiał się szyderczo na wspomnienie krążących we wsi pogłosek o jego pochodzeniu.

- Kazirodztwo? - Armitage wypowiedział to prawie że pełnym głosem. - Wielki Boże, cóż za uproszczenie! Pokaż im Artura Machene'a "The Great God Pan", a uznają to za powszechny w Dunwich skandal. Ale jakaż to istota... jaki przeklęty, bezkształtny stwór z tej trójwymiarowej ziemi albo spoza jej granic... jest ojcem Wilbura Whateleya? Urodził się w święto Matki Boskiej Gromniczej, w dziewięć miesięcy po wigilii pierwszego maja 1912 roku, kiedy to wieści o podziemnych odgłosach dotarły do Arkham. Co krążyło po górach w tę majową noc? Jakiż to koszmarny stwór, na pół ludzki, z ciała i krwi, osiadł na tym świecie?

Następne tygodnie dr Armitage poświęcił na zbieranie wiadomości o Wilburze Whateleyu i bezkształtnych istotach przebywających w okolicy Dunwich. Skontaktował się z doktorem Houghtonem w Aylesbury, który był przy śmierci Starego Whateleya, i zaczął się głęboko zastanawiać nad ostatnimi słowami, jakie starzec wypowiedział przed śmiercią, a jakie mu doktor powtórzył. Pobyt w Dunwich nie wniósł nic nowego, natomiast uważne zapoznanie się z "Necronomicon", zwłaszcza z tymi fragmentami, których Wilbur szukał z takim zapałem, dostarczyło mu nowych i strasznych kluczy do natury, metod, pragnień i potwornego zła zagrażającego tej planecie. Przeprowadził liczne rozmowy z uczonymi, zajmującymi się okultyzmem, z innymi skontaktował się listownie, i w rezultacie popadł w zdumienie, które powoli przerodziło się w niepokój, a nawet paniczny lęk. Latem nie mógł już się oprzeć uczuciu, że stanowczo należy coś zrobić z tym strasznym koszmarem, jaki się czai w dolinach górnego biegu Miskatonic, a także z tym potworem znanym ludzkości jako Wilbur Whateley.

Koszmar z Dunwich miał miejsce pomiędzy dożynkami, 1 sierpnia, a zrównaniem dnia z nocą, 21 września 1928 roku, i doktor Armitage był jednym ze świadków strasznego prologu tego wydarzenia. Słyszał o groteskowej wyprawie Whateleya do Cambridge i o niestrudzonych wysiłkach, jakie podejmował, żeby tylko wypożyczyć "Necronomicon" z Widener Library albo przynajmniej przepisać odpowiednie fragmenty. Wysiłki te spełzyły na niczym, gdyż Armitage wysłał pełne powagi ostrzeżenie do wszystkich bibliotekarzy mających w swojej pieczy tę straszną księgę. Wilbur był w Cambridge okropnie zdenerwowany; chciał za wszelką ceną zdobyć książkę, a jednocześnie jak najprędzej powrócić do domu, tak jakby się obawiał konsekwencji swojej nieobecności.

Na początku sierpnia miały miejsca nieoczekiwane wydarzenia. Trzeciego sierpnia, we wczesnych godzinach rannych, zbudziło doktora Armitage'a wściekłe, zajadłe szczekanie łańcuchowego psa na dziedzińcu college'u. Warczał, skowyczał, szczekał jak oszalały, i to coraz bardziej zaciekle, ale co pewien czas zalegała na moment pełna grozy, złowieszcza cisza. Nagle rozległ się zupełnie inny krzyk, który rozbudził połowę mieszkańców Arkham, a potem nawiedzał ich bezustannie we snach - a był to krzyk, jaki nie mógł się dobyć z gardła istoty zrodzonej na ziemi i przynależnej do tego świata.

Amitage szybko się ubrał i popędził przez ulicę i trawnik prosto do college'u, gdzie już zdążyli się zgromadzić inni ludzie. Z biblioteki dochodził przenikliwy dźwięk sygnału alarmowego. W blasku księżycy widać było otwarte okno ziejące czernią, a więc ktoś musiał się dostać do biblioteki, bo stamtąd właśnie dochodziło szczekanie i warczenie, ale także jakieś zduszone jęki. Instynkt podszeptał Armitage'owi, że to, co się tam rozgrywa, nie jest przeznaczone dla oczu przeciętnego widza, autorytatywnie więc kazał się wszystkim odsunąć, a sam otworzył drzwi prowadzące do hallu. W zgromadzonym tłumie dostrzegł profesora Warrena Rice'a i doktora Francisca Morgana, którym zwierzył się ze swoich wątpliwości i złych przeczuć. Do nich zwrócił się z prośbą, aby mu towarzyszyli. Teraz słychać już było tylko czujny, monotony skowyt psa; nagle jednak ze zdumieniem stwierdził, że w gęstwinie pobliskich krzaków rozlega się głośny, chóralny świergot lelków kozodojów, jakby zestrojony z rytmem ostatnich oddechów umierającego człowieka.

W całym budynku unosił się straszliwy fetor, tak już dobrze znany doktorowi Armitage'owi. Wszyscy trzej mężczyźni pomknęli przez hall do niewielkiej czytelnicy, z której dobiegał skowyt psa. Przez chwilę nikt nie miał odwagi zapalić światła, w końcu Armitage zdobył się na odwagę i przekreślił kontakt. Jeden spośród nich - trudno ustalić kto - krzyknął przeraźliwie ujrawszy to, co znajdowało się w sali pośród poprzewracanych stołów i krzeseł. Profesor Rice twierdzi, że na moment utracił całkowicie przytomność, mimo że się nie zachwiał ani nie przewrócił.

Stwór, który leżał skulony na boku, w kałuży cuchnącej zielonożółtej posoki i smolistej mazi, miał około trzech metrów wysokości; pies poszarpał na nim odzienie, porozrywał mu skórę. Jeszcze żył, jego ciałem miały przeraźliwe, spazmatyczne drgawki, a pierś falowała w zgodnym rytmie z szaleńczym świergotem lelków kozodojów. Po całej sali przewracały się szczątki skórzanych butów i strzępy ubrania, w oknie zaś leżał porzucony tam, pusty worek. Koło biurka stojącego pośrodku czytelnicy leżał nierozładowany rewolwer z wgiętym nabojem. Stwór ten jednak tak absorbował ich uwagę, że o niczym innym nie byli w stanie myśleć. Byłoby to banalne i niecałkowicie oddające prawdę, gdyby powiedzieć, że żadne pióro nie zdołałoby opisać tego widoku, z całą jednak stanowczością można stwierdzić, że nie jest to możliwe, aby ktokolwiek, kto myśli i widzi w kategoriach kształtów i form znanych na tej planecie i związanych z trójwymiarowością, potrafił sobie to wyobrazić i komukolwiek to przekazać. Stwór ten miał po części kształt ludzki, zwłaszcza ręce i twarz, która w swojej brzydocie nosiła jednak cechy rodu Whateleyów. Tors i dolne kończyny miał niesamowicie wynaturzone i tylko starannie dopasowany ubiór mógł to zamaskować i umożliwić istnienie na ziemi bez budzenia sprzeciwu.

Powyżej pasa był na wpół antropomorficzny, choć jego klatka piersiowa, na której wciąż jeszcze czujnie spoczywały rozcapierzone pazury psa, pokryta była pomarszczoną skórą krokodyla albo aligatora. Plecy miał usiane żółtymi i czarnymi plamami, odnosiło się wrażenie, że obciągnięte są łuskowatą skórą węża. Jeszcze gorzej wyglądał poniżej pasa; tu już trudno się było dopatrzeć podobieństwa do człowieka, był to potwór. Porastała go czarna sierść, a z brzucha zwisało chyba ze dwadzieścia macek ze sterczącymi, czerwonymi otworami gębowymi. Były one dziwnie rozmieszczone, w jakimś układzie geometrycznym, wykraczającym poza normy ziemskie i systemu słonecznego. Na biodrach, w różowych, otoczonych rżęsami oczodołach, znajdowało się głęboko osadzone, szczątkowe oko; zamiast ogona miał coś w rodzaju trąby albo macki z fioletowymi pierścieniami, co w gruncie rzeczy przypominało szczątkowe usta albo gardło. Porośnięte sierścią kończyny przypominały tylne łapy prehistorycznych jaszczurów, z pożyłkowanymi brzuściami, nie były to jednak ani kopyta, ani pazury. Kiedy stwór ten oddychał, ogon i macki w rytm oddechu zmieniały kolor, jakby pod wpływem krążenia owej zielonkawej cieczy, przybierając w ogonie odcień żółtawy i szarobiałe pomiędzy fioletowymi pierścieniami. Prawdziwej krwi nie było w nim ani śladu, tylko ta cuchnąca, zielonożółta, lepka ciecz, która sączyła się po malowanej podłodze pozostawiając odbarwione plamy.

Umierający stwór jakby się ożywił w obecności trzech mężczyzn i nie odwracając ani nie poruszając głowy zaczął coś mamrotać. Armitage nie odnotował tych słów, ale zapewnia, że nie był to język angielski. Z początku poszczególne sylaby najwyraźniej nie miały związku z żadną ziemską mową, ale pod koniec można było odróżnić nie powiązane ze sobą fragmenty z "Necronomicon", która stała się zgubną dla tego diabelskiego potwora. Armitage przypomina sobie, że brzmiało to mniej więcej następująco: "N'gal, n'ha'ghaa, bugg-shoggog, y'hah: Yog-Sothoth, Yog-Sothoth..." Wreszcie głos zamilkł, a krzyk lelków nasilił się w rytmicznym crescendo oczekiwania.

Po chwili oddech zamarł, a pies uniósł do góry głowę i zawył posepnie. Pożółkła, ohydna twarz potwora zmieniała się, wielkie czarne oczy zapadły się głęboko. Za oknem nagle umilkła wrzawa lelków, a ponad głowami wzburzonego tłumu rozległ się szaleńczy trzepot ich skrzydeł. Na tle księżycy zamajaczyła ogromna chmura

skrzydlatych stróży, wzbiła się wysoko i znikła, jakby przerażona tym, co miało stać się jej łupem.

Wtem pies zerwał się, zaszczekał przeraźliwie i wyskoczył przez okno, którym się dostał do środka. Tłum zawrzał, a doktor Armitage zwrócił się z prośbą, żeby nikt się nie zbliżał, dopóki lekarz i policja nie dokonają oględzin. Dziękował Bogu, że okna są umieszczone wysoko i nikt nie może zajrzeć, dla pewności pozaciągał szczerlnie wszystkie zasłony. Tymczasem przyjechali dwaj policjanci; doktor Morgan, który spotkał się z nimi w hallu, zaczął ich nakłaniać, aby dla własnego dobra nie wchodzili do cuchnącej czytelni, dopóki nie przyjedzie lekarz i leżący na ziemi stwór nie zostanie przykryty.

Tymczasem na podłodze zachodziło przedziwne zjawisko. Nie ma potrzeby opisywać procesu kurczenia się i rozkładu, jaki odbywał się na oczach doktora Armitage'a i profesora Rice'a; można jednak śmiało powiedzieć, że tylko twarz i ręce Wilbura Whateleya wykazywały podobieństwo do człowieka, reszta ciała miała niewiele wspólnego z rodzajem ludzkim. Kiedy przybył lekarz, na malowanych deskach podłogi widniała tylko lepka biała masa, a przykry zapach ulotnił się całkowicie. Stwór pozbawiony był czaszki i szkieletu, w prawdziwym znaczeniu tych słów. Musiało to być dziedzictwo po ojcu nieznanego pochodzenia.

[<- **Rozdział IV**] [**Początek**] [**Rozdział VI** ->]

VI

Wszystko to jednak było tylko prologiem do prawdziwego koszmaru, jaki zdarzył się w Dunwich. Oszołomieni funkcjonariusze załatwili sprawy formalne, a szokujące szczegóły ukryli przed prasą i ludźmi. Do Dunwich i Aylesbury wysłano przedstawicieli prawa, aby spisali wszystko, co stanowiło własność Wilbura Whateleya, i odnaleźli jego ewentualnych spadkobierców. Wieś zastali w stanie ogromnego podniecenia z powodu nasilonych podziemnych grzmotów rozlegających się w głębi nawiedzonych gór, potwornego smrodu i odgłosu plusku i jakby chęptania, które dochodziły z zabitej deskami górnej części domu Whateleyów. Earl Sawyer, który zaopiekował się koniem i byłem podczas nieobecności Wilbura, był zupełnie rozstrojony nerwowo. Przedstawiciele prawa znaleźli jakiś pretekst, aby nie wkraczać na hałaśliwe i zabite deskami piętro; zadowolili się jednorazowym przeglądem części mieszkalnej domu i świeżo naprawionych szop. Złożyli obszerny raport w sądzie w Aylesbury i podobno wciąż jeszcze toczy się spór o spadek pomiędzy licznymi Whateleyami, zdrowymi i zdegenerowanymi, zamieszkującymi dolinę w górnym biegu Miskatonic.

Na biurku Wilbura ku niezmiernemu zdumieniu znaleziono ogromny manuskrypt, pisany dziwnym charakterem pisma, różnym atramentem i w różnych odstępach, który uznano za pamiętnik. Po trwającej tydzień naradzie wysłano go wraz z kolekcją dziwnych książek pozostałych po zmarłym do Miskatonic University celem ich przestudiowania i ewentualnego przetłumaczenia. Jednakże okazały się niemożliwe do rozszyfrowania dla najwybitniejszych nawet lingwistów. Nie odkryto też śladu po starych, złotych monetach, którymi Wilbur i Stary Whateley spłacali zawsze swoje zobowiązania pieniężne.

To wszystko zaczęło się dziewiątego września o zmierzchu. Wieczorem rozległy się huki w górach, a przez całą noc wszystkie psy we wsi szczekały przeraźliwie. Ci, którzy wstali wcześniej rano dziesiątego września, poczuli jakiś szczerbny swąd w powietrzu. Około siódmej rano Luthr Brown, chłopak zajmujący się do pasania bydła u George'a Boreya, którego farma znajdowała się na pograniczu wsi i wąwozu Cold Spring, wpadł do kuchni oszalały ze strachu, a za nim na podwórko wcale nie mniej przerażone stado ryczących i wierzgających krów. Z trudem łapiąc oddech Luther Brown powiedział gospodyni, co następuje:

- Pani Corey, tam na drodze za wąwozem coś się dzieje! Śmierdzi, jakby spadł piorun, i wszystkie krzaki i drzewa są odsunięte od drogi, jakby ktoś ciągnął cały dom. Ale to jeszcze nie najgorsze. Są jakieś ślady na drodze, pani Corey, wielkie i okrągłe jak denko beczki, a wszystkie tak głębokie, jakby to słoń przeszedł, tylko że jest ich więcej, niżby mogły to zrobić cztery nogi słonia. Jak pędziłem, to się im przyjrzałem, z jednego miejsca rozchodzą się linie, jak na palmowym liściu, ale są dwa albo trzy razy większe od liścia i mocno wbito je w drogę. Okropnie śmierdzą, tak samo jak stary dom Whateleyów...

Urwał i zaczął drzeć ze strachu. Pani Corey, nie mogąc już nic więcej od niego wydobyć, zaczęła telefonować do sąsiadów rozsiewając panikę, która była jednak tylko wstępem do prawdziwego koszmaru. Kiedy zadzwoniła do Sally Sawyer, gospodyni Seta Bishopa, który mieszkał najbliżej Whateleyów, zamiast sama mówić, musiała się zamienić w słuchaczkę; sym Sally, Chauncey, nie mógł spać i wyszedł na wzgórze, ale spojrzawszy na pastwisko, na którym pozostały na noc krowy Bishopa, wrócił do domu w panicznym strachu.

- O tak, pani Corey - mówiła drżącym głosem Sally - Chauncey wpadł do domu w takim stanie, że słowa nie mógł wykrztusić. Mówił, że dom Whateleyów cały się rozleciał, deski porzrzucane, jakby go dynamit rozsądził od środka. Tylko podłoga została, z tym, że cała jest zalana czymś podobnym do smoły, ale okropnie to cuchnie i skapuje na ziemię, gdzie odleciały ściany. A na podwórzu są jakieś ślady... wielkie, okrągłe jak dno beczki, i tak samo lepkie, jak ta smoła na podłodze. Chauncey mówi, że prowadzą na łąki, a tam pas stratowanej trawy szerszy niż stodoła i wszystkie mury z kamienia przewrócone, tam gdzie to przeszło.

Chauncey mówi też, że chociaż tak okropnie się przestraszył, to pomyślał jednak o krowach Seta. Znalazł je na pastwisku wysoko koło Diabelskiego Uskoku w okropnym stanie. Połowa nie żyje, a połowa wygląda tak, jakby krew z nich ktoś wypił, i mają takie rany na skórze jak bydło Whateleyów, od kiedy Lavinia urodziła tego wstrętnego odszczepieńca. Seth teraz poszedł obejrzeć swoje krowy, ale chyba się nie zbliży do famy tego czarownika Whateleya. Chauncey nie poszedł zobaczyć, w którą stronę z pastwiska prowadzą te ślady, ale wydaje

mu się, że chyba drogą do wąwozu.

Pani Corey, mówię pani, jest w tym wszystkim coś niesamowitego i pewna jestem, że to zgotował ten wstrętny Wilbur Whateley, a spotkało go to, na co zasłużył. Zawsze mówiłam, że to nie człowiek. To on i stary Whateley hodowali coś w swoim zabitym deskami domu, co było jeszcze mniej ludzkie niż sam Wilbur. Koło Dunwich zawsze działały się niesłychane rzeczy, kręciły się jakieś żywe istoty, ale nie byli to ludzie i nie byli przychylni ludziom.

W nocy ziemia grzmiała, a Chauncey słyszał w wąwozie Cold Spring taki krzyk lelków kozodojów, że wcale nie mógł spać. Potem wydało mu się, że słyszy hałasy na farmie Whateleyów... jakiś trzask i rozdzieranie drzewa, jakby otwierano wielką skrzynię albo klatkę. Przez całą noc nie zmrzążył oka i jak tylko wzeszło słońce, już był na nogach i popędził do Whateleyów, żeby zobaczyć, co się tam stało. Oj, napatrzył się tam, pani Corey! Nic dobrego to nie wróży, wszyscy chyba powinni się zebrać i jakoś na to zaradzić. Wiem, że coś się koło nas dzieje, czuję, jak zbliża się moja godzina, ale chyba sam Bóg tylko wie, co to jest.

Czy Luther widział, dokąd prowadzą ślady? Nie? Jeśli są na drodze do wąwozu po tej stronie i nie doszły do pani domu, to znaczy, że to coś chyba udało się do wąwozu. Tak można przypuszczać. Zawsze powiadam, że wąwóz Cold Spring to niezdrowe i nieprzychylnie miejsce dla człowieka. Lelki kozodoje i świętojańskie robaczki zachowują się tam tak, jakby nie były to boskie stworzenia, a niektórzy mówią, że jak stanąć w pewnym miejscu, między wodospadem a Legowiskiem Niedźwiedzia, to słychać w wąwozie jakieś głosy i coś się tam rusza.

W południe niemal wszyscy mężczyźni i chłopcy z Dunwich zgromadzili się na drogach i łąkach pomiędzy zrujnowaną farmą Whateleyów a wąwozem Cold Spring. Z przerażeniem oglądali ogromne ślady, okaleczone krowy Bishopa, zdumiewające ruiny pozostałe po farmie, stratowaną roślinność na polach i przy drogach. Ta niepojęta rzecz, która napadła na świat, skryła się niewątpliwie w tym strasznym wąwozie. Wszystkie drzewa rosnące na jego skraju zostały połamane, a poprzez przepaścistą gęstwinę poszycia wygnieciona została szeroka droga. Wyglądało to tak, jakby dom zmieciony przez lawinę zsunął się ze stromego zbocza i przygniótł całą roślinność. Nie dochodziły od strony wąwozu żadne odgłosy, dolatywał tylko jakiś nieokreślony smród. Trudno się dziwić, że wszyscy woleli rozprawiać na brzegu wąwozu, aniżeli schodzić na dół i rzucać wyzwanie temu cyklopowemu potworowi w jego własnym legowisku. Towarzyszące ludziom trzy psy z początku ujadły z całych sił, ale z czasem umilkły, widać, że niechętnie przebywały w pobliżu wąwozu. Ktoś telefonicznie zawiadomił o tym wydarzeniu "Aylesbury Transcript", ale wydawca tej gazety, przywykły już do najdziwniejszych opowieści o Dunwich, napisał tylko na ten temat krótki, krotchowilny artykuł, przedrukowany potem przez Associated Press.

Tego wieczoru wszyscy wrócili do domu i szczelnie pozamykali domy i obory. Nikt też nie pozostawił na pastwisku swoich krów. Około drugiej w nocy całą rodzinę Elmera Frye'a, którego farma znajdowała się na wschodnim brzegu wąwozu Cold Spring, zbudziło wściekłe szczekanie psów i okropny smród. Cała rodzina usłyszała na dworze coś jakby świszczanie i chłęptanie. Pani Frye zaproponowała, żeby zawiadomić sąsiadów, i Elmer już sięgał do telefonu, gdy rozległ się trzask rozłupywanego drzewa. A dochodził bez wątplenia od strony obory. Wkrótce Frye'owie usłyszeli ryk i wierzganie krów. Psy ociekające śliną, skupiły się przy nogach osłupiałej i przerażonej rodziny. Frye odruchowa zapalił latarkę, choć zdawał sobie sprawę, że gdyby teraz wyszedł na podwórztę, spotkałaby go niechybna śmierć. Dzieci i kobiety jęknęły cicho, od głośnego krzyku powstrzymał je instynkt samoobronny, czuły bowiem, że ich życie uzależnione jest od ciszy. Krowy przestały ryczeć, muczały tylko żałośnie, ale wkrótce rozległo się skrzywienie, trzaski i odgłosy miażdżenia. Cała rodzina Frye'ów, skupiona w jednej izbie, nie śmiała się poruszyć, dopóki nie umilkło echo tych odgłosów daleko w wąwozie. Po chwili, wśród porykiwania była w oborze i demonicznego krzyku lelków w wąwozie, Selina Frye dotarła do telefonu i powiadomiła sąsiadów o tym wydarzeniu.

Nazajutrz całą wieś ogarnęła panika; grupy zaleknionych i prawie milczących ludzi przychodziły na miejsce, na którym szalała ta piekielna istota, i odchodziły. Od wąwozu aż po farmę Frye'ów ciągnęły się dwa pasma stratowanej trawy, na nagich skrawkach ziemi widniały ogromne ślady, a jedna ściana starej, czerwonej obory całkowicie się zawałiła. Udało się znaleźć i rozpoznać tylko czwartą część krów, przy czym z niektórych pozostały tylko szczątki, a te, które przetrwały, i tak trzeba było dobić. Earl Sawyer zaproponował, żeby zwrócić się z prośbą o pomoc do Aylesbury albo Arkham, ale wszyscy uznali, że byłoby to bezcelowe. Stary Zebulon Whateley, z odgałęzienia rodu jeszcze zdrowego, ale już ulegającego degeneracji, wspomniawszy coś niezbyt wyraźnie, że może należałoby odprawić jakieś obrzędy na szczytach wzgórz. Pochodził z tych Whateleyów, którzy wiernie przestrzegali tradycji, pamiętał jakieś śpiewy swoich przodków, ustawiających się w wielki krąg, które nie miały nic wspólnego z Wilburem i jego dziadkiem.

Noc zapadła nad nawiedzoną wsią, a wszyscy byli zbyt bierni, aby zorganizować jakąś skuteczną obronę. Kilka spokrewnionych rodzin zgromadziło się pod jednym dachem i spędziło noc na czuwaniu. Inni, podobnie jak poprzedniej nocy, zabarykadowali wszystkie drzwi, ponabijali strzelby i ustawili w zasięgu ręki widły, ale były to w gruncie rzeczy ruchy pozorne. Nic jednak tej nocy się nie zdarzyło, dochodziły jedynie od strony gór jakieś odgłosy. Nastął dzień, a wraz z nim wstąpiła nadzieja, że to nowe straszne zdarzenie minęło bezpowrotnie. Znaleźli się nawet śmiałkowie proponujący ofensywną wyprawę do wąwozu, choć nie byli skorzy posłużyć przykładem nastawionej niechętnie większości.

Następnej nocy znowu zabarykadowano drzwi, ale poszczególne rodziny nie gromadziły się już pod jednym dachem. Rano rodziny Frye'a i Setha Bishopa powiadomiły wszystkich, że psy w ich zagrodach były bardzo niespokojne i że skądś z daleka dochodziły dziwne odgłosy, dolatywał smród, a poza tym zauważono świeże, ogromne ślady na drodze otaczającej Sentinel Hill. Tak samo jak poprzednio stratowana roślinność po obu

stronach drogi świadczyła o olbrzymich rozmiarach tego potwora; ślady te najwyraźniej prowadziły w obydwu kierunkach, tak jakby góra wyszła z wąwozu Cold Spring i tą samą drogą tam powróciła. U stóp wzgórza szeroki pas przynięcionych młodych krzewów prowadził wzwyż i aż dech ludziom zapało, kiedy zobaczyli, że nawet w najbardziej stromych miejscach ani trochę nie zbaczał. A więc ten stwór mógł się dostać nawet po najbardziej pionowym skalistym urwisku; kiedy grupa zwiadowcza dotarła na szczyt okrężną, bezpieczną drogą, przekonała się, że tam ślad się kończył... albo też tam właśnie zawracał.

Na tym właśnie szczycie Whateleyowie rozpalali ognisko i odprawiali dwa razy w roku swoje diabelskie obrzędy przy skale w kształcie stołu. Teraz tam właśnie znajdował się największy teren stratowanej przez tego olbrzyma ziemi, a we wklęsłościach pozostała gęsta, cuchnąca, smolista ciecz, taka sama, jaką widziano na podłodze zburzonej farmy Whateleyów po ucieczce tego potwora. Wszyscy popatrzyli na siebie, wymieniając słowa szeptem, po czym spojrzeli w dół. Powrót odbył się najwyraźniej tą samą drogą. Wszelkie rozważania byłyby próżnym wysiłkiem. Rozum, logika, zdrowa myśl - były tu zawodne. Może tylko stary Zebulon, który nie uczestniczył w wyprawie, potrafiłby znaleźć w tym jakiś sens i udzielić wiarogodnego wyjaśnienia.

Czwartkowa noc rozpoczęła się podobnie jak poprzednie, ale zakończyła się mniej szczęśliwie. W wąwozie rozlegał się taki krzyk lelków kozodojów, że większość ludzi we wsi nie mogła zmrużyć oka, a około trzeciej w nocy rozdzwoniły się wszystkie telefony. Ci, którzy podnieśli słuchawki, usłyszeli oszałamiający z przerażenia krzyk: "Na pomoc, o Boże!...", a niektórym wydało się, że po tym krzyku dobiegł ich jakiś trzask, po czym zaległa kompletna cisza. Nikt nie miał odwagi zrobić kroku, nikt nie miał pojęcia, czyj to był głos, aż do świtu. Wtedy dopiero wszyscy się rozdzwonili i stwierdzono, że tylko Frye'owie milczą. Tajemnica wyjaśniła się po godzinie, kiedy grupa uzbrojonych mężczyzn zebrawszy się w pośpiechu wyruszyła w stronę farmy Frye'ów, położonej w pobliżu wąwozu. Choć nie było to dla nikogo niespodzianką, widok jednak był straszny. Wszelkie stratowane, olbrzymie ślady rzucały się w oczy z daleka, farma zniknęła. Zastała zgnieciona jak skorupka jajka, a w ruinach nie znaleziono ani żywego, ani martwego człowieka. Była tam tylko cuchnąca maź, a straszny fetor unosił się zewsząd. Rodzina Frye'ów przestała w Dunwich istnieć.

[<- Rozdział V] [Początek] [Rozdział VII ->]

VII

Tymczasem za zamkniętymi drzwiami sali pełnej ksiązek w Arkham rozegrała się spokojniejsza już, ale bardzo znamienna faza tej tragedii. Osobliwy manuskrypt albo pamiętnik Wilbura Whateleya, przekazany do Miskatonic University do przetłumaczenia, wywołał zamieszanie i sprawił niemało kłopotu ekspertom języków zarówno starożytnych, jak i nowoczesnych; alfabet, choć wykazywał pewne podobieństwo do kreskowego alfabetu arabskiego używanego w Mezopotamii, był jednak nieznanym nawet najwybitniejszym autorytetom w tej dziedzinie. W końcu lingwiści doszli do wniosku, że jest to alfabet wymyślony, sprawia wrażenie jakiegoś szyfru; jednakże żadna ze znanych kryptograficznych metod nie dostarczyła klucza, choć uwzględniono wszystkie języki, jakimi mógł się posługiwać autor tego manuskryptu. Stare książki zabrane z domu Whateleyów, choć wielce interesujące i w wielu przypadkach otwierające całkiem nowe perspektywy w przeprowadzonych przez filozofów i naukowców pracach badawczych, nie okazały się pomocne w rozszyfrowaniu manuskryptu. Jedna z ksiązek, obszerne tomisko z żelazną klamrą, była także napisana w nieznanym alfabecie, ale zupełnie innym, przypominającym sanskryt. W końcu wszystko zostało oddane pod opiekę doktora Armitage'a, który wykazywał szczególne zainteresowanie sprawą Whateleyów, a poza tym był wybitnym lingwistą i posiadał szczególną umiejętność odczytywania mistycznych zapisów, zarówno starożytnych, jak i średniowiecznych.

Armitage uważał, że alfabet ten może mieć coś wspólnego z pewnymi zakazanymi kultami, potajemnie praktykowanymi, a które wywodzą się z bardzo odległych czasów i odziedziczyły wiele form i zwyczajów po saraceńskich czarownikach. Nie przywiązywał jednak do tego zbyt wielkiego znaczenia; uznał, że nie jest konieczna znajomość pochodzenia tych symboli, skoro, jak podejrzewał, zostały zastosowane jako szyfr nowoczesnego języka. Biorąc pod uwagę wielką objętość manuskryptu, Armitage doszedł do wniosku, że jego autor nie zadawałby sobie trudu posługiwania się obcym językiem, że całość musi być napisana w języku, jakim mówił, oprócz może zawartych w nim pewnych formuł i zaklęć. Wobec tego zabrał się do odczytywania manuskryptu zgodnie z założeniem, że w większości został napisany po angielsku.

Po tylu nieudanych przedsięwzięciach kolegów zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z przypadkiem skomplikowanym i zagadkowym i że żadna prosta metoda nie wchodzi w rachubę. W drugiej połowie sierpnia gromadził bez przerwy najrozmaitsze źródła kryptograficzne; sięgał do wszystkich znajdujących się w bibliotece ksiąg i noc po nocy zagłębiał się w arkana takich dzieł jak: "Poligraphia" Trithemiusa, "De Furtivis Literarum Notis" Clambattlsta Porty, "Traite des Chiffres" De Vigenere'a, Falconera "Cryptomenysus Patefacta", osiemnastowieczne rozprawy Davy'ego i Thicknesse'a, odwołał się także do całkiem nowoczesnych autorytetów jak Blair, von Marten i rękopisu Klubera, jednakże wkrótce przekonał się, że ma do czynienia z jednym z najbardziej chytrych i pomysłowych kryptogramów, w którym kilka oddzielnych wykazów odpowiednich liter ułożonych zostało jak tabliczka mnożenia, a posłanie składa się ze słów-kluczy znanych tylko wtajemniczonym. Starsze autorytety okazały się bardziej pomocne niż współczesne, Armitage wywnioskował więc, że kod tego manuskryptu wywodzi się z zamierzchłych czasów, a przekazywany był z pokolenia na pokolenie przez tajemniczych eksperymentatorów. Kilkakrotnie już zdawało mu się, że jest blisko celu, ale zawsze wtedy napotykał na jakieś nieprzewidziane przeszkody. Na początku września chmury zaczęły się rozjaśniać. Udało mu się ustalić pewne litery w poszczególnych częściach rękopisu, co potwierdzało jego przypuszczenie, że tekst napisany jest w języku angielskim.

Drugiego września wieczorem ostatnia poważna zapora została pokonana i doktor Armitage przeczytał po raz pierwszy dłuższy fragment rękopisu Wilbura Whateleya. Był to rzeczywiście, jak wszyscy podejrzewali, pamiętnik, w którym ujawniała się okultystyczna erudycja i jednocześnie absolutna ciemnota dziwnej istoty, która to napisała. Już pierwszy długi fragment, który Armitage rozszyfrował, opatrzony datą 26 listopada 1916, wzbudzał niepokój i zdumienie. Został napisany przez trzy i półletnie dziecko, wyglądające na dwanaście albo trzynaście lat.

Dzisiaj poznałem Aklo Sabaoth, który mi się nie podobał, bo odpowiadał ze wzgórza, a nie z powietrza. To na górze wyprzedza mnie bardziej, niż myślałem, ale nie wydaje mi się, żeby miała dużo ziemskiego rozumu. Zabiłem psa Elama Hutchinsa, bo chciał mnie ugryźć, i Elam mówi, że mnie zabije. Chyba jednak nie zabije. Dziadek kazał mi całą noc powtarzać zaklęcie Dho i wydaje mi się, że zobaczyłem podziemne miasto o dwóch biegunach magnetycznych. Wybiorę się na te bieguny, jak ziemia zostanie oczyszczona, jeśli nie dostanę się tam z pomocą zaklęcia Dho-Hna. Ci z powietrza powiedzieli mi podczas sabatu, że lata upłyną, nim oczyszczą ziemię, a dziadek chyba wtedy nie będzie żył, muszę wobec tego nauczyć się wszystkich kątów płaszczyzny i wszystkich formuł pomiędzy Yr i Nhhngr. Co z zewnątrz pomogą, ale nie mogą przybrać ciała bez ludzkiej krwi. Chyba ci na górze będą mieć właściwy kształt. Widzę to, kiedy robię znak Voorish albo rzucam prosek Ibn Gazi i jest wtedy blisko jak w Majowy Wieczór na wzgórzu. Inna twarz może się trochę zatrze. Ciekaw jestem jak będę wyglądał, kiedy ziemia będzie oczyszczona i nie będzie na niej ludzi. Ten, co przybył z Aklo Sabaoth, mówił, że może zostanę przemieniony i stanę się taki jak ci z zewnątrz.

Nastał ranek, a Armitage, zlany zimnym potem przerażenia, wciąż jeszcze siedział zatopiony w pracy. Całą noc ślęczał nad manuskrytem przy stole z elektryczną lampą i przewracał drżącymi rękami stronicę, w miarę jak odczytywał szyfr. Zadzwoił w nerwowym pośpiechu do żony, że nie wróci do domu, a kiedy przyniosła mu śniadanie, ledwie kęs zdołał przełknąć. Przez cały dzień tylko czytał; robił przerwy jedynie wtedy, gdy musiał ponownie posługiwać się odkrytym przez siebie kluczem do szyfru. Przyniesiono mu obiad i kolację, ledwie jednak tknął jedzenie. W połowie następnej nocy zdrzemnął się w krześle, ale wkrótce zbudziły go zmyry, równie potworne jak te wszystkie koszmary zagrażające ludzkości, które poznał przy odczytywaniu manuskryptu.

Czwartego września rano profesor Rice i doktor Morgan postanowili zobaczyć się z nim na chwilę, ale natychmiast wyszli, pobladli i zaniepokojeni. Tego dnia wieczorem Armitage położył się do łóżka, lecz nie mógł spać. Nazajutrz, we środę, znowu zasiadł do manuskryptu i zaczął przepisywać to, co na bieżąco odczytywał, i to, co już poprzednio odczytał. W ciągu nocy przespał się trochę w fotelu, ale nim nastał świt, już siedział przy pracy. Około południa odwiedził go lekarz, doktor Hartwell, i stanowczo zalecił mu przerwanie pracy. Odmówił twierdząc, że musi czytać pamiętnik, jest to sprawa niezwyklej wagi, a wyjaśni wszystko w odpowiednim czasie. Wieczorem, nim zapał zmrok, skończył i opadł w fotelu kompletnie wyczerpany. Kiedy żona przyniosła mu kolację, zastała go prawie nieprzytomnego; miał jeszcze świadomość na tyle, że zareagował krzykiem, gdy spojrzała na zrobione przez niego notatki. Z trudem się podniósł, zgarnął wszystko, włożył do koperty i po zaklejeniu schował ją do kieszeni marynarki. Starczyło mu sił, aby dojść do domu, ale natychmiast trzeba było wezwać doktora Hartwella. Kiedy doktor kładł go do łóżka, Armitage słabym głosem powtarzał wciąż te same słowa: "I cóż, na Boga, możemy zrobić?"

Tej nocy spał, ale nazajutrz znowu był prawie nieprzytomny. Doktorowi Hartwellowi niczego nie wyjaśnił, jedynie w chwilach przebłytku świadomości domagał się spotkania z Ricem i Morganem. Jego majaki budziły przerażenie, błagał, żeby zniszczyć coś na zabitej deskami farmie, wspominał o jakimś planie zagłady rasy ludzkiej, zwierząt i roślin na całej ziemi przez jakieś okropne, straszne istoty z innego świata. Krzyczał, że ziemia jest w niebezpieczeństwie, ponieważ te istoty chcą ją oderwać od systemu słonecznego i kosmosu materii i przyłączyć do jakiejś innej płaszczyzny czy też fazy istnienia, od której się niegdyś odłączyła, przed milionami wieków. Chwilami domagał się "Necronomicon" i "Daemonolatrea" Remiglusa, bo miał nadzieję odnaleźć w nich formułę, która by uchroniła ludzkość przed straszną zagładą.

- Powstrzymajcie je, powstrzymajcie! - wołał. - Whateleyowie chcieli je wpuścić, a najgorsze dopiero ma nastąpić! Powiedzcie Rice'owi i Morganowi, że musimy działać... to tajemnica, ale ja wiem, jak się robi prosek... to nie jadło od drugiego sierpnia, kiedy Wilbur znalazł tutaj śmierć, i w tej sytuacji...

Jednakże Armitage, mimo siedemdziesięciu trzech lat, miał dobrą kondycję i zapadł w głęboki sen. W piątek rano obudził się bez gorączki, całkiem przytomny, choć trapiiony lękiem i poczuciem ciężkiej na nim odpowiedzialności. W sobotę po południu czuł się już na tyle dobrze, że mógł się wybrać do biblioteki i odbyć naradę z Rocem i Morganem. Aż do późnego wieczora łamali sobie głowę, zatopieni w różnych spekulacjach i desperackich rozważaniach. Wyciągnęli z załadowanych półek, a także z miejsc specjalnie strzeżonych najdziwniejsze księgi; w szaleńczym pośpiechu przepisali mnóstwo rozmaitych diagramów i formuł. O sceptycyzmie nie mogło być mowy. Wszyscy trzej widzieli ciało Wilbura Whateleya leżące na podłodze w tym budynku, nie mogli więc traktować tego pamiętnika jak bredzenia szaleńca.

Rozbieżność wyłoniła się dopiero w kwestii powiadomienia policji stanowej w Massachusetts, ale w końcu uznali, że nie miałyby to sensu. Jeśli ktoś nie zetknął się z tym osobiście i nie uczestniczył w dalszych badaniach, nie był w stanie dać temu wiary. Późnym wieczorem skończono naradę bez ustalenia konkretnego planu działania. Armitage spędził jednak całą niedzielę nad porównywaniem różnych formuł i mieszaniem chemikaliów zdobytych w miejscowym laboratorium. Im dłużej zastanawiał się nad tym piekielnym pamiętnikiem, tym bardziej zaczynał wątpić w skuteczność zniszczenia za pomocą jakichkolwiek materialnych składników istoty pozostawionej przez Wilbura Whateleya - istoty zagrażającej ziemi, a nieznanej Armitage'owo, która za kilka godzin miała zaatakować świat i stać się symbolem pamiętnego dla Dunwich kosmaru.

Paniedziałem upłynął mu w podobny sposób, gdyż zadanie, jakiego się podjął, wymagało nieskończenie długich badań i eksperymentów. Zaglądając do manuskryptu, co chwila wprowadzał zmiany w swoim planie, i wreszcie doszedł do wniosku, że skuteczność jego działania będzie budzić wątpliwości do samego końca. Do wtorku ustalił jednak konkretny plan i miał nadzieję, że w najbliższym tygodniu zdoła się wybrać do Dunwich. A we środę nastąpiło straszne zdarzenie. "Arkham Advertiser" zamieścił w niewidocznym miejscu w rogu żartobliwą notatkę, w której pisał, że przemyt whisky w Dunwich zbudził potwora, który poibił wszelkie rekordy. Oslupiał Armitage natychmiast zatelefonował do Rice'a i Morgana. Zastanawiali się do późna w nocy nad dalszym działaniem, a następnego dnia wypełniły im gorączkowe przygotowania do podróży. Armitage zdawał sobie sprawę, że będzie miał do czynienia ze strasznymi mocami, ale nie widział innej możliwości zniweczenia o wiele poważniejszej i złowroziej działalności podjętej przez jego poprzedników

[<- Rozdział VI] [Początek] [Rozdział VIII ->]

VIII

W piątek rano Armitage, Rice i Morgan wyruszyli samochodem do Dunwich, dokąd przybyli około pierwszej w południe. Dzień był ładny, ale nawet w najjaśniejszym słońcu zdawał się tu wisieć ponad kopulastymi górami i głębokimi, ciemnymi wąwozami nastrój jakby oczekiwanej grozy. Tu i ówdzie na szczytach gór rysowały się na tle nieba stojące w kręgu posępne kamienie. W sklepie Osborne'a panowało milczące przerażenie, zorientowali się więc, że musiało się stać coś strasznego. Okazało się, że rodzina Frye'ów i ich farma uległy całkowitej zagładzie. Przez całe popołudnie jeździli po Dunwich; wypytywali wieśniaków o wszystko, co się tutaj zdarzyło, z niepokojem i lekiem obejrzeni ruiny farmy Frye'ów z kałużami smolistej mazi, monstrialne ślady na podwórku, okaleczone bydło Setha Bishopa i ogromne pasma stratowanej roślinności w różnych miejscach. Ślad prowadzący na szczyt Sentinel Hill i z powrotem był dla Armitage'a kataklizmem, długo wpatrywał się w złowróżbną skałę, przypominającą ołtarz, na szczycie tej góry.

Ponieważ dowiedzieli się, że rano przybyli tutaj funkcjonariusze policji stanowej z Aylesbury na skutek telefonicznego zawiadomienia o tragedii Frye'ów, postanowili odszukać ich i omówić całą sprawę. Przyjechali pięciu funkcjonariuszy samochodem, który stał teraz pusty na podwórku zrujnowanej farmy Frye'ów. Wieśniacy, którzy z nimi rozmawiali, byli równie zaskoczeni jak Armitage i jego towarzysze. Nagle stary Sam Hutchins poblądł, trącił łokciem Freda Farra i wskazał ręką na przesiądknięty wilgocią głęboki wąwóz w pobliżu farmy.

- Boże! - zawołał ledwo dysząc. - Mówiłem, żeby nie schodzili do wąwozu. Nigdy bym nie przypuszczał, że ktoś może to zrobić. Przecież widać te wielkie ślady, strasznie śmierdzi, a lelki kozodoje wrzeszczały tam w ciemności w samo południe...

Wszystkich przeszył zimny dreszcz, instynktownie i podświadomie zamienili się w słuch. Armitage, który teraz niemal namacalnie zetknął się z tą potwornością i jego zgubnymi skutkami, drżał pod ciężarem odpowiedzialności, do jakiej się poczuwał. Wkrótce miała już zapaść noc, a przecież właśnie wtedy ten piekielny olbrzym odbywał swoje wyprawy. Negotium perambulans in tenebris... Stary bibliotekarz powtarzał zapamiętaną formułę i zaciskał w rękę kartkę z drugą formułą, której się nie zdążył nauczyć. Sprawdził, czy dobrze działa jego latarka. Stojący obok Rice wyjął z walizki metalowy rozpylacz używany zazwyczaj do niszczenia insektów, natomiast Morgan przyszykował strzelbę myśliwską na dużą zwierzynę i w niej pokładał nadzieję, choć pozostali byli przekonani, że żadna broń nie może być skuteczna.

Armitage, po przeczytaniu pamiętnika, zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, czego można się spodziewać, ale nawet o tym nie napomknął i tak już mocno przerażonym mieszkańcom Dunwich. Miał nadzieję, że może zdoła pokonać potwora, nie odkrywając świata, jakiej potworności uniknął. Kiedy zaczął zapadać zmrok, wieśniacy zaczęli się rozpraszać. Wszyscy pragnęli się schronić w domu, choć byli świadomi, że żadne zamki ani zasuwki nie zabezpieczą ich przed siłą, która łamie drzewa i tratuje domu. Z powątpiewaniem potrząsali głowami dowiedziawszy się, że trzej przybysze zamierzają stać na straży przy ruinach Frye'ów w pobliżu wąwozu. Co więcej, mieli wątpliwości, czy jeszcze kiedykolwiek ich zobaczą.

Tej nocy ziemia pod wzgórzami grzmiała, a lelki złowieszczo krzyczały. Co jakiś czas powiew wiatru z głębi wąwozu Cold Spring przepelniał ciężkie powietrze nocy fetorem nie do zniesienia; takim samym, z jakim już Armitage i jego współtowarzysze zetknęli się stojąc nad umierającą istotą, która przez piętnaście i pół roku była uznawana za człowieka. Jednakże oczekiwany potwór się nie pojawił, czekał stosowniejszej chwili, zaś Armitage orzekł, że atakowanie go w nocnej ciemności byłoby samobójstwem.

Nastał już błąd świt, odgłosy nocy umilkły. Dzień był ponury, popadywał drobny deszcz, a w kierunku północnozachodnim gromadziły się ponad górami coraz cięższe chmury. Trzej uczeni z Arkham byli niezdecydowani, jakie winni podjąć dalsze kroki. Schranili się przed nasilającym się deszczem w jednej z nie zniszczonych szop na farmie Frye'a zastanawiając się nad tym, co ma większy sens, czy czekać tutaj, czy też zejść na dół do wąwozu i tam zaatakować tego nieznanego, strasznego potwora. Spadła ulewa, w dali, na horyzoncie, waliły pioruny. Niebo roziskrzyło się błyskawicami, a po chwili uderzył piorun, jakby prosta w ten przeklęty wąwóz. Niebo zrobiło się czarne; trzej przybysze żywili nadzieję, że tak silna burza szybko minie i wkrótce się przejaśni.

W godzinę później, kiedy wciąż jeszcze panowały ciemności, usłyszeli na drodze jakiś harmider. Po chwili wyłoniło się kilkanaście osób, a wszyscy pędzili krzycząc histerycznie. Ktoś, kto był na przedzie, wykrztusił z siebie jakieś

słowa, a kiedy ich sens dotarł do świadomości trzech mężczyzn z Arkham, stanęli jak wrycie.

-Och, mój Boże, mój Boże! Znowu to idzie, nawet za dnia. Wyszło... posuwa się, w każdej chwili może tu być.

Mówiący te słowa umilkł, ale już zaczął następny:

- Jeszcze nie ma godziny, jak Zeb Whateley usłyszał telefon. To dzwoniła pani Corey, żona George'a, mieszka przy rozstaju dróg. Powiedziała, że jej chłopak najemny, Luther, właśnie spędzał z pastwiska krowy, po tym, jak uderzył piorun, i on to właśnie zobaczył, że wszystkie drzewa na brzegu wąwozu się pochylają i że śmierdzi tak samo jak w poniedziałek rano, kiedy znalazł ślady. Mówił też, że słyszał jakiś świst i chlupot, ale to nie były odgłosy tratowanych drzew i krzaków, a potem wszystkie drzewa przy drodze zostały odepchnięte i usłyszał ciężkie stapanie i chlupot błota. Ale Luther niczego nie widział, tylko te stratowane drzewa i krzaki.

Potem, trochę dalej, tam gdzie Bishop's Brook płynie pod drogą, usłyszał straszne trzeszczenie i skrzypienie mostu, tak jakby rozszczepiało się drzewo. Ale przez cały czas nie widział tej rzeczy, tylko tratowane drzewa. A kiedy świst się oddalił... w stronę Wizarza Whateleya i Sentinel Hill... Luther odważył się pójść tam, gdzie na początku usłyszał te odgłosy, i popatrzył na ziemię. Były tam tylko błota i woda, niebo zasłoniły jeszcze ciemne chmury, a deszcze szybko wymywał wszystkie ślady, ale na brzegu wąwozu jeszcze się nie starły te okropne ślady, wielkie jak beczka, takie same jak w poniedziałek.

Teraz włączył się człowiek, który mówił na początku:

- Ale to jeszcze nic strasznego, to dopiero początek. Zeb, który jest tutaj z nami, zwołał do siebie wszystkich i wszyscy słyszeli, jak zadzwonił Seth Bishop. Jego gospodyni, Sally, szalała z przerażenia, bo widziała, jak przewracają się drzewa przy drodze, i mówiła, że słyszy, jakby po błocie szedł słoń prosto na dom. Potem zawołała, że czuje okropny smród, a jej syn Chauncey krzyczał, że śmierdzi tak samo jak w poniedziałek na ruinach Whateleyów. A psy szczekały i wyły przeraźliwie.

A potem Sally zaczęła okropnie krzyczeć i wołać, że szopa koło drogi rozpadła się, jakby zdmuchnęła ją burza, tylko że nie było silnego wiatru. Wszystkim prawie dech zaparło. Ale już po chwili Sally krzyknęła, że zawałił się płot, choć nie widać od czego. Po chwili wszyscy usłyszeli krzyk Chaunceya i Seta Bishopa, a Sally zawołała, że coś ciężkiego uderzyło w dom, wcale nie piorun, i że to choć pcha dom, ale nic przez okna nie widać.

Na twarzach wieśniaków malował się paniczny strach, zaś Armitage, wstrząśnięty do głębi, z trudem wydobył dalsze informacje:

- A potem... Sally zaczęła wołać: "Ratunku, dom się wali!"... i przez telefon usłyszeliśmy straszny hałas i przeraźliwy krzyk... taki sam, jak wtedy, gdy rozpadał się dom Elmera Frye'a, a może nawet jeszcze gorszy...

Mówiący te słowa urwał, a zaczął następny:

- I to już wszystko... a potem cisza w telefonie, nic nie było słychać. Wsiedliśmy w samochody i wozy, zebraliśmy się u Coreya, sami sprawni mężczyźni, a stamtąd przybyliśmy tutaj, żeby spytać, co robić dalej. Ja myślę, że to kara boża za nasze grzechy i że żaden śmiertelnik jej nie uniknie.

Armitage zrozumiał, że nadszedł czas działania, i przemówił zdecydowanym głosem do grupy przerażonych, miotanych wątpliwościami wieśniaków.

- Moi drodzy, musimy pójść za tym stworem - mówił starając się im dodać odwagi. - Jestem przekonany, że teraz właśnie jest dobra okazja, aby go unicestwić. Wiecie zapewne, że Whateleyowie byli czarownikami, a ten stwór jest wytworem czarów, więc musimy go takimi środkami pokonać. Przeczytałem pamiętnik Wilbura Whateleya i jeszcze parę starych ksiąg, które on czytywał, i wydaje mi się, że poznałem odpowiednie zaklęcie. Kiedy się je wyrecytuje, potwór powinien zniknąć. Nie mogę, oczywiście, dać gwarancji, ale chyba warto spróbować. Spodziewałem się tego, że jest niewidzialny, ale w tym rozpylaczu o dalekim zasięgu jest proszek, pod wpływem którego potwór ukaże się naszym oczom przez moment. Wypróbujemy go za chwilę. Wiem, że to straszne, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby Wilbur żył dłużej na tym świecie. Nie macie pojęcia, jak straszno losu uniknąć świat. Teraz musimy zwalczyć tylko tego jednego potwora, nie może się on bowiem rozmnożyć. Ale może wyrządzić dużo krzywdy, więc się nie wahajmy, trzeba się go koniecznie pozbyć.

Pójdziemy za nim... a zaczniemy od miejsca, które właśnie zniszczył. Niech ktoś tam poprowadzi... nie znam waszych dróg, ale wyobrażam sobie, że można pójść na przelaj. Co o tym myślicie?

Przez chwilę wieśniacy przestępowali z nogi na nogę, po czym odezwał się słabym głosem Earl Sawyer wyciągając brudny palec na deszcz, który stopniowo zaczął się zmniejszać.

- Najbliżej do Seta Bishopa przez tę łąkę, potem w bród przez strumień i znowu przez łąkę i lasek za famą Carriero. Wychodzi się wtedy na drogę tuż koło Seta... trochę z boku.

Armitage, Rice i Morgan ruszyli we wskazanym kierunku, a za nimi wolniejszym krokiem, prawie wszyscy wieśniacy. Niebo się już przejaśniało, burza przesunęła się trochę dalej. Armitage zmylił drogę, wobec tego Joe Osborne przejął rolę przewodnika. Odwaga i wiara wstąpiła w członków wyprawy, choć zastały potem wystawiona

na ciężką próbę, kiedy pod koniec drogi na skrót musieli się wspinać jak po drabinie na strome, zalesione wzgórze, pośród bardzo starych, o niemal fantastycznych kształtach drzew.

W końcu wyszli na błotnistą drogę, a w tym momencie pojawiło się słońce. Było to tuż za farmą Setha Bishopa, ale powalone drzewa i ohydne ślady świadczyły dobitnie o tym, co się tutaj działo. Tuż za zakrętem drogi znajdowały się ruiny, ale nie zatrzymywali się tam długo. Wszystko wyglądało tak samo jak u Frye'ów, nie znaleziona ani żywych ludzi, ani martwych, ani żadnych zwierząt gospodarskich pośród szczątków domu i obory Setha Bishopa. Nikt nie miał ochoty dłużej przebywać w tym strasznym smrodzie i pośród smolistej, lepkiej mazi, wszyscy jakby instynktownie odwrócili się ku długiej linii strasznych śladów prowadzących w stronę zrujnowanej farmy Whateleyów i zbocza uwieńczonego ołtarzem Sentinel Hill.

Kiedy mijali dawną siedzibę Wilbura Whateleya, widać było, że wszyscy zadrżeli i zawahali się przed dalszą drogą. To nie żarty tropić coś tak wielkiego jak dom, co jeszcze na domiar wszystkiego jest niewidzialne, a działa ze złościwością strasznego demona. U podnóża Sentinel Hill ślady zbaczały z drogi, znać było świeży zakręt i wklęsłości na szerokim pasie znaczącym wejście potwora na górę i zejście.

Armitage wyjął silnie powiększającą lunetę i zlustrował strome, zielone zbocze góry. Po chwili przekazał ją Morganowi, który miał lepszy wzrok, a który przyjrawszy się uważnie krzyknął i natychmiast oddał lunetę Earlowi Sawyerowi, wskazując palcem konkretne miejsce na zboczu. Sawyer, nie mający doświadczenia w posługiwaniu się optycznym przyrządem, nie mógł sobie poradzić; z pomocą Armitage'a dopasował soczewki, ale wtedy krzyknął o wiele przeraźliwiej niż Morgan.

- Boże drogi, trawa i krzaki znowu się ruszają! Wchodzi... powoli... pełza... na sam szczyt, nie wiadomo po co!

Wszystkich ogarnęła panika. Co innego szukać nieznannej istoty, a co innego ją odnaleźć. Zakłęcie może być skuteczne... A jeśli okaże się nieskuteczne? Zaczęli wypytywać Armitage'a o wszystko, co jest mu wiadome, ale żadne słowa zdawały się ich nie zadowalać. Zdawali sobie sprawę, że znajdują się w obliczu zjawiska wykraczającego poza zasięg Natury i wiedzy dostępnej normalnemu człowiekowi.

[<- **Rozdział VII**] [**Początek**] [**Rozdział IX** ->]

IX

W końcu trzej mężczyźni z Arkham - stary, siwobrody doktor Armitage, krępy, szpakowaty profesor Rice i szczupły, młodzieńczy doktor Morgan - zaczęli się wspinać na wzgórze. Lunetę przekazali wystraszonemu ludziom, którzy pozostali na drodze, uprzednio wyjaśniając im cierpliwie, jak się mają nią posługiwać; w miarę jak wchodzili coraz wyżej, luneta przechodziła z rąk do rąk wśród oczekujących na dole ludzi. Wspinaczka nie była łatwa i nie raz trzeba było wspomóc doktora Armitage'a. Wysoko ponad nimi poruszało się szerokie pasmo drogi, po którym z rozwagą ślimaka przesuwiał się ten diabelski potwór. Stało się dla wszystkich jasne, że ścigający go uczeni zbliżają się do celu.

Curtis Whateley - z tych niezdegenerowanych Whateleyów - trzymał w ręku lunetę, kiedy ludzie z Arkham zboczyli z trasy, którą posuwał się potwór. Przypuszczał, że chcą się wspiąć na drugi, niższy szczyt, stamtąd bowiem lepiej widać szlak potwora i miejsce, na którym tratowana jest teraz cała roślinność. I tak rzeczywiście było. Uczeni znaleźli się na niższym wzniesieniu w momencie, kiedy niewidzialny potwór właśnie je minął.

Wtedy Wesley Corey, który ujął w swoje ręce lunetę, zawołał, że Armitage przygotowuje rozpylacz trzymany przez Rice'a i że chyba wkrótce coś się wydarzy. W tłumie zapanowało poruszenie, wszyscy bowiem przypomnieli sobie, że pod działaniem rozpylacza niewidzialny potwór stanie się na moment widoczny. Parę osób z wrażenia przymknęło oczy, zaś Curtis Whateley wyrwał lunetę Coreyowi i z wielką uwagą zaczął obserwować, co się dzieje na górze. Dojrzał, że Rice, zajmujący dogodną pozycję w stosunku do potwora, miał wspaniałą okazję rozpylenia magicznego proszku.

Ci, którzy nie mieli dostępu do lunety, ujrzeli tylko nagłe pojawienie się szarej chmury - wielkości sporego budynku - przy samym wierzchołku góry. Nagle Curtis krzyknął przeraźliwie i rzucił lunetę w błoto głębokie do kolan, zachwiał się i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymali. Z wielkim trudem starał się coś z siebie wykrztusić:

- Wielki Boże... to... to...

Posypały się pytania i tylko Henry Wheeler okazał przytomność umysłu i wyjąwszy z błota lunetę, starannie ją oczyścił. Curtis wciąż dobywał z siebie tylko bezładne słowa.

- Większy niż obora... cały jakby z pozwijanych sznurów... ma kształt kurzego jajka, ale ogromny jak nie wiem co... ma kilkanaście nóg wielkich jak dno beczki, zginają się w pół, kiedy stąpa... nie ma nic stałego... wszystko jak galareta... składa się z oddzielnych poskręcanych lin ściągniętych razem... pełno na nim wielkich, wyłupiastych oczu... dziesięć albo dwadzieścia ust, a może trąb... sterczą wszędzie, wielkie jak rury od pieca, chwieją się, otwierają i zamykają... szare, na nich niebieskie i fioletowe pierścienie... a na górze... Boże drogi... pół twarzy!

To ostatnie wspomnienie było dla Curtisa nie do zniesienia. Już nic więcej nie powiedział, tylko osunął się na ziemię. Fred Farr i Will Hutchins, położyli go na mokrej trawie przy drodze. Henry Wheeler, drżąc z przerażenia,

skierował lunetę na górę. Dostrzegł niezbyt wyraźnie trzy postacie biegnące w stronę szczytu, tak szybko, jak tylko pozwalało na to strome zbocze. Nic więcej nie było widać. Wtem rozległ się niespotykany o tej porze krzyk w głębi doliny za wzgórzem, a nawet wśród krzewów na samym wzgórzu. To odezwały się nieprzeliczone stada lelków kozodojów, a w ich chóralnym krzyku wyczuwało się pełne napięcia oczekiwanie.

Teraz z kolei Earl Sawyer chwycił lunetę i oznajmił wszystkim, że trzy osoby stoją na samej krawędzi szczytu wierzchołka, dokładnie na poziomie skały-ołtarza, tylko że w znacznej odległości. Jedna podnosi co pewien czas ręce ponad głowę. W tym momencie tłum czekający na dole usłyszał ciche i melodyjne zawodzenie, tak jakby gestom rąk towarzyszył jakiś śpiew. Był to widok niesamowity, groteskowy i przejmujący do głębi, nikt jednak nie był zdolny w owym czasie do odbierania jakichkolwiek wrażeń estetycznych. - On chyba wypowiada zaklęcie - szepnął Wheeler chwyając lunetę. Lelki krzyczały jak oszalałe, w jakimś szczególnym rytmie, nie dopasowanym do odprawianego obrzędu.

Słońce przygasło, choć na niebie nie pojawiła się ani jedna nowa chmura. Dziwne to zjawisko zostało zauważone przez wszystkich. W głębi gór zaczęły się rozlegać grzmoty, którym towarzyszyły równocześnie pioruny rozdzierające niebo. Przecięła je też błyskawica, a oszołomiona gromada ludzi na próżno wypatrywała nadciągającej burzy. Teraz śpiew mężczyzn z Arkham słyszeć było wyraźnie, a Wheeler widział przez lunetę, jak wszyscy trzej wznoszą do góry ręce w rytm nuconych słów. Z jakiejś farmy dobiegło zjadłe szczekanie psów.

Światło dnia uległo dziwnej zmianie, wieśniacy ze zdumieniem wpatrywali się w horyzont. Fioletowa ciemność, na skutek pogłębionej szarości nieba, spowiła huczące góry. Znowu przeszła niebo błyskawica, jeszcze silniejsza niż poprzednia, a wokół kamiennego ołtarza roztoczyła się chmura. W tym momencie nikt nie patrzył przez lunetę. Lelki kozodoje krzyczały bezustannie, a wieśniacy z Dunwich skupili się jeden przy drugim, aby w ten sposób stawić czoło niepojętej grozie, jaką nabrzmiało całe powietrze.

Niespodziewanie rozległ się donośny, ochrypli głos, którego nikt spośród tych, co go słyszeli, nigdy w życiu nie zdołał zapomnieć. Nie mógł to być głos ludzki, żaden człowiek nie dobyłby z siebie tak odrażających dźwięków. Już prędzej można by rzec, że pochodził z piekła, gdyby nie był umiejscowiony tak wyraźnie przy ołtarzu ze skały na wzgórzu. Trudno to nawet nazwać dźwiękiem czy głosem, bo jego upiorny, basowy tembr poruszał struny świadomości i strachu, o wiele subtelniejsze niż ucho. Jednakże trzeba w końcu tak to określić, bo w gruncie rzeczy były to artykułowane, choć niezbyt zrozumiałe słowa. Były głośnie... a nawet głośniejsze od grzmotów podziemnych i rozdzierających niebo... ale wydawała je istota niewidzialna. A ponieważ wyobraźnia może podsuwać najrozmaitsze przypuszczenia, jeśli chodzi o świat istot niewidzialnych, zgromadzeni u stóp wzgórza wieśniacy jeszcze ciaśniej się skupili, z drżeniem oczekując wymierzonego w nich ciosu.

- Ygnaiih... ygnaiih.. thfithkh'ngaha... Yog-Sothoth... - rozległ się ochrypli głos. - Y'btthnk... h'ehye-n'grkd'l'h...

Głos ten zamilkł, jakby pod wpływem jakiejś walki psychicznej. Henry Wheeler wyteżył wzrok przez lunetę, ale zdołał dojrzeć tylko trzy groteskowe sylwetki ludzkie na szczycie, wykonujące rękoma szaleńcze gesty w kulminacyjnym momencie rzuconego zaklęcia. Z jakich to czarnych otchłani lęku albo namiętności, z jakich przepaści pozakosmicznej świadomości i mrocznego, z dawna skrywanego dziedzictwa wywodziły się te niezrozumiałe gromkie odgłosy? Nagle wystąpiła w nie siła i stały się lepiej zrozumiałe, jakby pod wpływem nabrzmiałej wściekłości.

- Eh-ya-ya-yahaah-e'yayayayaaa... ngh'aaaaangh'aaa... h'yuh... h'yuh,,, Na pomoc! Na pomoc!... oo-oo-oo... Ojcz! Ojcz! Yog-Sothoth!...

Zapała cisza. Wieśniacy stojący na drodze przy wzgórzu pobledli, oszołomieni sylabami w języku angielskim, które dotarły do nich jak grom z przerażającej pustki wokół kamiennego ołtarza, ale już nigdy więcej nie mieli ich usłyszeć. Wtem podskoczyli gwałtownie, bo jakaś straszliwa eksplozja zdawała się rozdzierać góry; ogłuszający huk, dobywający się z ziemi albo z nieba, nie wiadomo skąd. Błyskawica przeszła fioletowy zenit i opadła na kamienny ołtarz, a wielka fala niewidzialnych mocy i nieopisanego fetoru spłynęła ze wzgórza i rozlała się po całej okolicy. Drzewa, trawa, krzewy przechylały się, jakby z wściekłością smagano je biczem; a przerażonych wieśniaków, którzy prawie dusili się od tego zabójczego smrodu, zupełnie ścięło z nów. Psy wyły bez przerwy, trawa i cała roślinność przywiedły, stały się żółtoszare, a pola i lasy zostały usiane martwymi lelkami.

Smród ulotnił się wkrótce, ale roślinność już nigdy nie odżyła. Po dziś dzień wszystko, co rośnie na wzgórzu i w jego pobliżu, wygląda dziwnie i niesamowicie. Curtis Whateley właśnie odzyskał przytomność, kiedy uczeni z Arkham, w jasnych promieniach słońca, zeszli na dół. Zachowywali powagę i spokój, choć wstrząśnięci byli wspomnieniem i refleksjami jeszcze straszniejszymi niż te, które zaważadnęły wieśniakami i przeszły ich takim lękiem. W odpowiedzi na zalew pytań potrząsali głowami i mówili tylko o jednym istotnym fakcie.

- Potwór zniknął na zawsze - zapewnił Armitage. - Stał się tym, czym był niegdyś, i już nigdy więcej nie będzie istniał na ziemi. Był nienormalnym zjawiskiem w normalnym świecie. Miał w sobie tylko odrobinę materii w naszym pojęciu tego określenia. Był podobny do swego ojca... i powrócił do ojca, do jego królestwa albo nie znanych nam wymiarów znajdujących się poza zasięgiem materialnego wszechświata. Do jakiejś otchłani, z której mogły go wywołać i sprowadzić na pewien czas w góry tylko bluźniercze obrzędy.

Zapanowała krótka chwila ciszy, podczas której rozproszone myśli Curtisa Whateleya zaczęły się układać w jeden ciąg; objął głowę rękoma i wydawał z siebie jęki. Wracała mu pamięć, a koszmar, jaki pozbawił go świadomości, teraz znowu pojawił mu się przed oczami.

- Och, mój Boże, ta połowa twarzy... ta połowa twarzy na górze... z czerwonymi oczami albinosa i włosami jak szczecina, bez brody, całkiem jak u Whateleyów... ośmiornica, krocionóg, coś jakby pająk, ale na wierzchu połowa ludzkiej twarzy. Przypominała Wizarða Whateleya, tylko że była o wiele szersza.

Urwał wyczerpany, a cała grupa wieśniaków, wsłuchująca się w te koszarne słowa, patrzyła na niego z osłupieniem. Tylko stary Zebulon Whateley, który zawsze pamiętał różne wydarzenia z dalekiej przeszłości, a który dotychczas milczał, oznajmił donośnym głosem:

- Piętnaście lat temu słyszałem, jak Stary Whateley mówił, że któregoś dnia usłyszymy dziecko Lavinii wykrzykujące imię swego ojca na szczycie Sentinel Hill...

Jednakże przerwał mu Joe Osborn zwracając się z pytanie do uczonych z Arkham:

- Ale co to było i w jaki sposób Wizard Whateley to przywołał?

Armitage odparł, starannie dobierając słowa:

- Była to... no cóż, była to siła, która nie przynależy do znanej nam przestrzeni, siła, która działa, rośnie i kształtuje się wedle zupełnie innych praw, niż znane są w naszej przyrodzie. Nie powinniśmy czegoś takiego przywoływać stamtąd, robią to tylko nikczemni ludzie wyznający nikczemne kultury. Coś z tego było właśnie w Wilburze Whateleyu... co czyniło z niego diabła i potwora już od najmłodszych lat, a jego śmierć była strasznym widowiskiem. Spalę jego przeklęty pamiętnik, a wam radzę rozburzyć ten kamienny ołtarz i wszystkie stojące kręgiem kolumny na wzgórzach. To dzięki nim właśnie Whateleyowie z taką lubością przywoływali te istoty... które zamierzały zniszczyć całą rasę ludzką, a naszą ziemię zawlec w jakieś nieznane nam miejsce i w niewiadomym celu.

A jeśli chodzi konkretnie i tego potwora, którego właśnie się pozbyliśmy, to Whateleyowie chowali go dla jakiejś strasznej misji, która się dopiero potem miała wypełnić. Rozrastał się on w szybkim tempie z tej samej przyczyny, jak i Wilbur, który przecież rozwijał się o wiele szybciej niż ludzie, ale ten potwór pokonał pod tym względem Wilbura, bo było w nim więcej cech stamtąd. Nie ma potrzeby zastanawiać się, w jaki sposób go tutaj Wilbur przywołał, bo nie zrobił tego. Był to jego bliźniaczy brat, tylko że bardziej podobny był do ojca, aniżeli Wilbur.

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[<- **Rozdział VIII**] [**Początek**]